

LADISLAV
GROSMAN
Sklep przy głównej ulicy

tłumaczenie
Cecylia Dmochowska

WARSZAWA 2011

Spis treści

Sklep przy głównej ulicy

Przypisy

Metryczka książki

1

Chmury wychlustały już gniew nagłej burzy. Natychmiast skorzystał z tego wiatr, natarł na nie, dął i atakował, igrał sobie z nimi, aż zmieniały kształt i miejsce, i odpływały, gdzie się dało. Na niebie tworzyły się błękitne okienka, rozjarzone słońcem i odblaskiem ognistej łuny z ziemi.

Młoty były w kowadła, dzwoniły jasno i odświętnie niczym ciężkie dzwony odlane z czystego brązu. Nawet szybującemu leniwie bocianowi dodały bodźca. Zamachał radośnie skrzydłami i wykorzystując sprzyjający wiatr, postanowił skrócić sobie drogę do gniazda. Płynnym lotem opuścił się nad kościelną wieżę, nad kryte gontami i blachą, rozrzucone z rzadka domki, raz jeszcze wzniosł się, aby ogarnąć spojrzeniem miasteczko wśród gór, po czym w linii ukośnej śmignął wprost do celu, jakby pobudzony dobiegającymi z chodników głosikami: „Leci, leci, bocian leci, leci, leci, niesie dzieci”. Czarno-biały ptak wyprostował nogi, zamachał skrzydłami i opadł na zwichrowane gniazdo w pobliżu kuźni.

Teraz dzieci mogły już w skupieniu przyglądać się wąsatemu kowalowi w wielkim skórzanym fartuchu, jego czarodziejsko śmiałym ruchom, gdy chwycił żrebaka za nogę. Niedoświadczone źrebię poderwało łeb, opierało się ze wszystkich sił, chciało uciec przed zadawanym gwałtem. Stojąca opodal kobyła, zaprzężona do drabiniastego wozu, zarżała gniewnie. Żrebię broniło się przed gnypem i ogniem.

Z przypalanego kopyta wznosiły się spiralne smużki błękitnawego dymu. Kowal krzyknął do dzieci:

– Wynocha! Już was tu nie ma, możecie się bawić gdzie indziej!

Jak gdyby mu przeszkadzały. Ale gdy kowal Balko jest zły, lepiej zejść mu z oczu. Więc dzieci się wycofały, wykrzykując jednak słowa ośmieszającego wierszyka:

Siarka, piekło, czarny czad,

złośnik kowal z konia spadł,

upadł na pępek,

a koń mu uciekł!

Zaczął jedno i już wykrzykiwały wszystkie, nawet to ledwo odrosłe od ziemi. Było ich siedmioro, bosa usmarkańce, gdy się bawiły, migały człowiekowi w oczach, wnuczeta magistrackiego woźnego, latorośle trafikanta i dzieci z okolicznych podwórek. Warkoczaste dziewczątka w krótkiej sukience nie zrobiło kroku bez skakanki.

Na skraju chodnika, wzdłuż rzędu lip, dzieci zaczęły się ścigać. Podskakiwały, krzyczały, kluczyły w biegu, a najmniejszy z tego drobiazgu, może sześciolatek, piegowaty, ostrzyżony na jeża brzdąc koniecznie chciał połaskotać dziewczynkę w kark pod warkoczami i wyrwać jej skakankę. Mała broniła zaciekle zabawki. Chłopaczek ciągnął z jednej strony, dziewczynka z drugiej, ciągnęli, przyciągali do siebie, dzieci pokrzykiwały: „mocniej! mocniej!”, aż nagle bęc! – chłopaczek potknął się i klapnął pupcią na ziemię. Wybuchnął śmiech i płacz i dzieci niczym banda złodziejasków wśliznęły się przez bramę na podwórko.

Tylko dziewczynka została na ulicy, skakała przez skakankę na przemian to na jednej, to na drugiej nodze, potem obiema naraz. Nagle przestała skakać. Zrobiło jej się żal małego osiołka ciągnącego olbrzymią beczkę z mocznikiem. Osiołek z takim trudem stawiał nogi, z takim wysiłkiem. Daremnie idący obok woźnica pokrzykiwał: „Wio!... wio!!!”. Jakby próbował siły swego głosu albo chciał dodać sobie

animuszu. Było gorąco, słońce prażyło bezlitośnie.

Zwabiona wrzaskiem chłopców dziewczynka też pobiegła na podwórko. Skacząc przez skakankę, posuwała się w stronę drabiny i psiej budy; kurczęta i kwoki z gdakaniem i trzepotem skrzydeł pierzchały jej spod nóg. Zatrzymała się dopiero przy jaśniejącej białej, rozwieszanej między dwoma starymi orzechami bieliźnie.

W cieniu uchylonych drzwi pojawił się stolarz Brtko. Kto wie, czy nie wyjdzie również jego żona, której dzieci bardziej się bały niż jego. Brtko drapał się za uchem, jakby się zastanawiał, czy ma do końca wysłuchać jej tyrady.

– Nie będzie cię to kosztowało ani grosza, a głowy ci nie urwą – dobiegł z kuchni jej głos.

– Zobaczymy – powiedział – na siłę nie da się tego zrobić, Ewelino. A prosić ich nie będę!

I wyszedł.

Kundel Brtka przecisnął się między filcowymi butami swojego pana i pognął do dzieci na trawniku. Miał białą sierść i żółtą smugę nad prawym okiem.

Razem z trzaśnięciem drzwi zabrzmiał głosik dziewczątka ze skakanką:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Stolarz Brtko zwrócił twarz ku dzieciom. Sprawdził, czy ma calówkę w tylnej kieszeni płóciennych spodni. Dzieci ani mru-mru. Stolarz obciągnął jeszcze na kamizelce zielony fartuch i w zadumie przeczesał palcami czuprynę.

– Na wieki wieków – mruknął do dziewczynki. Przykucnęła na trawniku razem z pozostałymi dziećmi, jakby przed ich oczami odgrywało się niezwykle widowisko.

– Esenc! – zawołał Brtko psa i razem wyszli z podwórka. W pobliżu zagwizdał pociąg.

Majster pod daszkiem kuźni tak był zajęty pracą, że nie miałby czasu zamienić nawet kilku słów, gdyby Brtko zdecydował się zatrzymać na pogawędkę. Ale i Brtko się spieszył, mijał niskie okna domków, zerkał z chodnika do szarzejących wewnątrz, pomieszczenia wydawały mu się nieposprzątane i opustoszałe.

Coś go zdumiało, choć mijający go ludzie nic nie spostrzegli. I pies spojrzął na swego pana. Brtko sprawdził czas na zegarku, niepewny, czy się myli. Kręcił głową, nie mogąc tego zrozumieć. Przez te lata, co mieszka w pobliżu dworca, nie zdarzyło się, żeby o tej godzinie spuszczone szlaban.

Pociąg. Jadący poza rozkładem pociąg specjalny przemknął z łoskotem i z taką szaleńczą szybkością, jakby maszynista bał się, że spotka go kara, jeśli nie dojedzie na drugi koniec świata przed zachodem słońca.

Brtko i pies cofnęli się o kilka kroków.

Spod kół walił się kurz i łoskot, eszelon wojskowy zasłonił widok na główną ulicę po drugiej stronie torów. Nawet Esenc dał wyraz niezadowoleniu. Brtko w tym straszliwym grzmocie nie słyszał jego szczeku, widział tylko, jak gniewnie go z siebie wyrzuca. Rozdrażniło go to jeszcze bardziej. W ułamkowych zbliżeniach migwały przed nim wagony załadowane działami i żołnierzami w plamistych pelerynach.

W oddalającym się dudnieniu zniknął wreszcie i tylny wagon hamulcowy. A im dwóm od razu zrobiło się lżej, słońce wychynęło

spoza tumanów kurzu.

Pod blaszanym szyldem z napisem TOWARY TYTONIOWE I ZNACZKI STEMPLOWE siedział jednoręki trafikant, gapiąc się na ospałą ulicę. O tej popołudniowej porze z trudem przemagał senność. Od pierwszych słonecznych dni przesiadywał tu na starym, zniszczonym krześle z wyplatany oparciem. Ocknąwszy się z drzemki, nie od razu uświadomił sobie obecność psa.

– Ty kundlu – powiedział, uśmiechając się lekko.

– Cześć, Gejzo! – zawołał stolarz.

– Obudził mnie, bestia, a niech go wszyscy diabli! Dziś nic ci nie dam, przyjacielu.

Obaj mieli uciechę, widząc, że pies postawił uszy. Spoglądał to na jednego, to na drugiego, jakby się domyślał, że odgrywają tę komedię dla niego.

– Nawet na jedną fajeczkę? – spytał Brtko żałośnie, wyjmując fajkę z tylnej kieszeni spodni.

– Mowy nie ma.

– Nawet skręta?

– Nie.

– Przynajmniej na jedno sztachnięcie.

– Nie!

– A peta?

– Nic, nic, nic!

Teraz następowała puenta. Po tej stanowczej odmowie trafikanta rozległy się trzy krótkie i ostre szczeknięcia Esenca, a obaj przyjaciele zaśmiali się z udanego kawału.

Esenc bowiem z gracją stanął na tylnych łapach i tym brawurowym wyczynem zmiękczył serce trafikanta.

Brtko mógł wziąć trzy papierosy z podsuniętej papierošnicy i wsunąć je do kieszonki kamizelki.

Na jezdni między wagą miejską, na której ważono duże ładunki, a sklepem rzeźniczym psy czekały na przydział kości. Furgon już wrócił ze szlachtuza, wszystko było przygotowane. Ale dzisiaj zbiegła się tu o wiele większa sfora niż zwykle, widać już po wszystkich budach w mieście rozniosła się wieść o szczodrym rzeźniku. Psy były bardziej napastliwe, niepokoiły kobyłę, czuły niebezpieczeństwo zwiększonej rywalizacji. Niecierpliwym, gniewnym warczeniem domagały się swojego zwyczajowego prawa.

W drzwiach sklepu rzeźniczego stał czeladnik w białym fartuchu, z szaflikiem pod pachą, czekając na odpowiedni moment, aby rzucić nową porcję kości.

Brтка ogarnął niepokój, stał się czujniejszy, nie spuszczał Esenca z oczu. Esenc był jedynym psem, który nie rzucał się bezprytomnie na zdobycz. Zdyscyplinowanie czekał na rozkaz, choć kosztowało go to niemało samozaparćia.

– Teraz! – zawołał Brtko w chwili, gdy psy skłębiły się przy nowej porcji kości, a opodał została jedna niezauważona przez nie. Kundel skoczył wielkim łukiem i przypadł do kości.

– Będzie ucza, będzie – powiedział pan i w rozmarzeniu popatrzył

ku ruchliwszej części ulicy w pobliżu rynku.

Posłyszał dźwięki wojskowej trąbki i odwrócił się pospiesznie. Widocznie trębacz – nikt go na razie nie mógł dojrzeć, ale wszyscy go słyszeli – postanowił dziarskim sygnałem zagłuszyć hałas uliczny. Wydawało się, że zapowiada coś niepowszedniego. Huzarzy stacjonowali w koszarach miejskich dopiero od kilku dni.

Przechodnie zatrzymywali się, w otwartych oknach zakwitły ciemne i jasne głowy kobiet, roześmiane twarze dziewcząt. Dźwięk trąbki zabrzmiał przenikliwiej. Zza rogu ulicy wynurzył się – wiejski księżulo na rowerze. A zaraz za nim, jakby ten mężczyzna w sutannie spełniał tajną misję i wskazywał drogę żołnierzom, nadjechał oficer, wyprostowany w siodle jak struna. W chwilę później korytem wąskiej ulicy popłynął dwuszereg huzarów, idealnie wyrównany, jakby im ogromnie zależało na opinii widzów, na tym, co powiedzą, jak ocenią ich elegancki kłus.

Huzarzy uśmiechem odpowiadali na machanie z okien i chodników. A trębacz z twarzą nabrzmiałą z wysiłku dał w swój mosiężny instrument, nie zważając na pełne uznania okrzyki przechodniów, nie widząc Brtka ani psa, ani rozdokazywanych bosych uliczników.

W łomot kopyt wmieszał się nienatarczywy, miękki dźwięk dzwonów. Trzy szare gołębie siedziały na okapie kościelnej wieży, a zegar, którego tarcza w rzucanym przez okap cieniu wydawała się czarna, wskazywał piątą po południu.

Brtko przystanął pośród napływającego na korso tłumu i porównał czas na swoim zegarku. Teraz mógł już spokojnie i z zadowoleniem przyglądać się ludziom spacerującym po korsie, które ożywiało się z minuty na minutę.

Chwilę obserwował beztroskich młodzików i dziewczęta

w kwiciastych sukienkach, potem utkwiał wzrok w fantazyjnym kapelusiku paniusi z pieskiem. Tak się zagapił, że zapomniał o swoim kundlu i to był właśnie kamień obrazy. Paniusia wybuchnęła:

– Dlaczego pan nie trzyma go na smyczy! Fifi! Fifinko, psineczko, chodź do pani! Fúj! Fúj!

Chodziło o całkiem banalny flirt. Esenc posunął się tylko do niewinnego obwąchiwania i żądnych spojrzeń. Brtko, przepraszając pełnymi skruchy ukłonami i zakłopotanym uśmiechem, cofał się, aż wpadł na dziecięcy wózek. I naraz zapragnął nasycić oczy widokiem kędzierzawej dziewczyneczki w wózku, połaskotać ją pod bródką, przemówić do niej, cmoknąć, żeby sprawić jej radość, i strzelić palcami, żeby sprawić radość sobie i młodej matce. Esenc szedł za nim krok w krok i z równym jak pan zainteresowaniem patrzył na czarno-białą grupkę zakonnic, na ich płochliwy chód, skryty pod fałdzistym habitem, na palce zaciśnięte na różańcu. Cztery pary, osiem kobiet, ludzie z szacunkiem ustępowali im z drogi, dawali przejście pustelnicom, które wyrzekły się uciech tego świata. Brtko rozluźnił kołnierzyk, żeby się pozbyć dławiącego uczucia przygnębienia. Ogarnął go niepokój.

Jego fachowe ucho wyłowilo spośród rozbrzmiewającego wokół gwaru i hałasu doskonale znane uderzenia siekier i młotów, zgrzyt strugów. Te bliskie sercu Brtko odgłosy niosły się od drewnianego ostrosłupa pośrodku rynku, od budowli pychy i dumy, jakiej dotąd ludzkie oko nie widziało. Jej oślepiająco biały szczyt sterczał wysoko ponad koronami kasztanów okalających rynek.

Ostrosłup piął się w górę, jakby chciał czubkiem języka polizać błękitny lakier nieba. Brtko pacnął się w kolano i gwizdnął na palcach, bo chciał teraz mieć psa przy sobie.

Ale Esenca widać zirytowało niezdecydowanie pana i postanowił, że sam mu wskaże, gdzie należy iść. Odwracał się jedynie od czasu do czasu, sprawdzając, czy nie oddalił się zbyt daleko. Zawadził o cholewę

wojskowego buta i otarł się o łydkę jakiejś dziewczyny. W pewnej chwili usiadł na chudym zadku i postawił uszy.

– Panowie, bierzmy się do dzieła!

– Bierzmy się! Łap go!

Te słowa mogły się odnosić również do niego. Musi mieć się na baczności. I Brtko się zaniepokoił. Ale młodzieńcy tylko się popisywali przed dziewczętami. Brtko podrapał psa za uchem, minę miał zdecydowaną i stanowczą. Nagle drgnął i uniósł głowę.

– Lody! – wołał smagły mężczyzna w czerwonym fezie i podzwaniał mosiężnym dzwonkiem przywiązany do pałaka lodziarskiego wózka, który popychał przed sobą niemal w biegu. – Lody! Lody! – Brzęczenie dzwonka i chrypliwe nawoływania miejscowego Turka ścichły w oddali.

Z napiętą uwagą obchodził Brtko elipsę rynku. Jak gdyby on i jego kundel dostali tajne zlecenie, aby zarejestrować nawet najdrobniejsze szczegóły z placu budowy. Brtko miał teraz taki wyraz twarzy, jakby zmobilizował całą swoją pomysłowość, bystrość i wiedzę fachową, aby dokładnie zapamiętać wszystko, o czym będzie musiał zdać relację. Tak sumiennie i uważnie obserwował krzątanie na budowie. Badał wzrokiem szerokość ostrosłupa i sposób łączenia kondygnacji. Twarzy robotników z tej odległości nie mógł rozeznaczyć. Widział tylko, że podają tym na górze deski i łaty i że w ich ruchach odbija się zmęczenie i zdyszany, niecierpliwy pośpiech.

Wyglądali na tle białych płaszczyzn oszalowania jak wielkie czarne mrówki.

Brtko dobrze wiedział, co to za praca – wznieść taki kolos. Ostrosłup swoim ogromem budził wyobrażenie pogańskiego bóstwa, przed którym przejmuje człowieka podziw albo cześć. Stolarz nie mógł

ukryć uznania. Może to tylko niepokój, jaki nas ogarnia na widok egzotycznego zwierzęcia, potężnego, nieobliczalnego i dlatego niebezpiecznego, spowodował, że Brtko przyspieszył kroku?

Obszedł już cały rynek i naraz nie wiedział, co robić dalej, wyciągnął rękę w stronę budowli, a kiedy natknął się wzrokiem na roześmianego kominiarza, chwycił się za guzik. Zwolnił kroku, znów to samo uczucie. Co pocznie ze swoimi rękami? Spojrzał na pokryte odciskami dłonie, potem znów na budowlę i znów na ręce, i w bezsilnym gniewie uderzył psa.

Esenc, wystraszony niespodziewanym postępkim swego pana, warknął i pokazał zęby. Podwinąwszy ogon, zniknął w tłumie. Obraził się na dobre.

Tę ogromną kupę desek, która wpadła Brtkowi w oczy, złożono tu dopiero dzisiaj, a może nawet przed kilkoma godzinami. Brtko wygramolił się aż do połowy stosu. Musiał ocenić jakość materiału, opukać deski, zbadać ich wytrzymałość, powąchać, jak pachną.

Znów zaczął przywoływać psa.

Esenc zafrapowany swoim odkryciem ani myślał usłuchać. Zresztą chodzenie po gładkiej tafli marmuru było dosyć ryzykowne. Ten zwalony głaz w cieniu kasztana zasługiwał na uwagę także z innych względów. Z bliska można było na nim przeczytać:

POLEGLI ZA WOLNOŚĆ

JÓZEF TURNIA

MIKOŁAJ GAZDA

EMIL BRUDER

Pies przechylił łeb, jakby czytał napis i nazwiska wyryte w kamieniu. Nasłuchiwał, skąd dochodzi przywołujące gwizdanie pana, a kiedy mu się wydało, że już wie, stanął na tylnych łapach, niecierpliwie przebierając przednimi w powietrzu, jakby oczekiwał nagrody za swój wyczyn. Ale co może dostać od przechodzących obok roześmianych dzieci i obojętnych dorosłych? Esenc uniósł tylną łapę i skropił kamień cienkim strumyczkiem. Potem zdecydowanym skokiem zakończył swój występ na zwalonym gładzie. Pilnował się jedynie, żeby nikomu się zbyt nie narazić. Wychwytywał węchem ślady pana na ziemi i przedzierał się między nogami gapiów w stronę ustawionych pod gołym niebem stołów stolarskich.

Działo się to w chwili, gdy ludzie zaczęli się rozstępować, by dać przejście wybitnej osobistości. Od chodnika szedł wysoki mężczyzna w asyście dwóch gwardzistów^[1]. Gdy Brtko dojrzał eleganckiego komendanta w mundurze jak z igły, cofnął się niepewnie i skrył się w tłumie.

Wprawdzie umyślił sobie, że się tu spotka z Markusem Kolkockim i że mu wszystko wygarnie. Ale teraz zmienił decyzję. Zresztą Markus Kolkocky, otoczony działaczami i publicznością, zbyt był zajęty, żeby spostrzec niepozornego człowieczka w stolarskim fartuchu. Komendant wyciągnął rękę, wskazał szczyt ostrosłupa, wyglądał na uszczęśliwionego. Obmacywał oszalowanie, poklepywał po ramieniu wąsatego stolarza w kombinezonie, potem wysłuchał kierownika budowy, wymoczkowatego mężczyzny w koszuli z wykładanym kołnierzem. Zdaje się, że sprawozdanie z przebiegu budowy wypadło zadowolająco. Kolkocky, nie zwlekając dłużej, mógł przystąpić do najważniejszego punktu inspekcji. Wbiegł po drewnianych schodkach na ostrosłup i z wysokości dwóch pięter pomachał do tłumu na dole. I Brtko patrzył w tym kierunku, co wszyscy. Nienawidził Kolkockiego, znał przy tym wartość zajęcia, które komendant mógłby mu zapewnić jednym ruchem ręki. Ale Brtko nigdy by się tak nie poniżył, żeby go prosić o jakąkolwiek przysługę. Uświadomił to sobie właśnie w tej chwili, gdy stał tak nisko pod nim. I kiedy wszyscy wokół śmiali się

i weselili, na twarzy stolarza odzwierciedliły się żal i bezsilny gniew.

Ewelina nie wytrzymała, żeby nie wygarnąć mężowi wszystkiego, co miała na wątrobie. Była zrędliva i nigdy nie powściągała języka. Czemu zresztą miałyby się wyrzekać rozkoszy rozgoryczenia?

– Wszystkim lepiej się powodzi niż nam – wybuchnęła. Z piersi wydarło jej się przy tym krótkie westchnienie, może dlatego, że kiedy się klęczy na jednym kolanie, trudno jest mówić. A ona właśnie wybierała z piecyka węgle do żelazka. – Ale ty uważasz, że jesteś najmądrzejszy ze wszystkich, to i co na to można poradzić... Urządzić się, jak się urządzili Szkabło, Petrusz i inni? A skądże! Znaleźć robotę? Do tego nie masz smykałki! Śpiewać, jak grają? Gęba by ci się skrzywiła!

Żelazko wypełnione już było węglami, mogła więc wstać i sprawdzić, jak podziałały jej słowa. Wygładziła przy tym jedną ręką kretonową sukienkę pod fartuchem i obciągnęła ją, usiłując zakryć kolana. Wszystko było na nią za ciasne i za wąskie i groziło potrzaskaniem pod naporem bujnego, jędrnego ciała. Nawet staromodne papucie ją cisnęły.

Z rumorem rzuciła w kąt pogrzebacz. Ale i to nie zrobiło wrażenia na jej mężu. Nic nie było w stanie odwrócić jego uwagi od całkiem błahaego zajęcia, które w przekonaniu Eweliny było równie bezużyteczne, jak wszystko, co robił. Chyba rzeczywiście zależało mu już tylko na tym, żeby ze ścianek poodpryskiwanej miednicy puścił wżarty w nie brud. Siedział na ławce z miednicą między kolanami, jakby ją lutował, raz po raz sypał drogocenny proszek do szorowania na szmatę i tarł z uporem i wytrwale. A kiedy Ewelina machnęła ręką i z bezsilnym gniewem rzuciła: – Szkoda słów! – Brtko, nie podniósłszy nawet głowy, też machnął ręką i powiedział:

– Idź do licha, pilnuj swego. Ja cię zostawiam w spokoju, to i ty daj

mi święty spokój! – I nadal czyścił miednicę.

– Czekaaj, ja ci pokażę święty spokój – pogroziła Ewelina i wybiegła z kuchni. Ale nie odeszła daleko. Zatrzymała się przed progiem, z żelazkiem w podniesionej ręce, jakby chciała oświetlić sobie drogę, i rozejrzała się badawczo po podwórku, na które już spływał mrok wieczoru. A kiedy pies zniecka polizał ją po gołej łydce, krzyknęła przestraszona: – A pódziesz, paskudniku! – i wymierzyła mu kopniaka. Zduszony skowyt zanikł w szumie wiatru, a Esenc podreptał drobnym kroczkiem w głąb podwórza. Po chwili jego białe łapki skryły się w cieniu rozkołysanych gałęzi dwóch starych orzechów. Ewelina raz jeszcze zatrzasnęła rygielek, sprawdziła, czy dobrze trzyma. Węgielki, rozżarzone na skutek wahadłowego wymachiwania żelazkiem, mrugały okrągłymi oczkami otworów zasuwki i kreśliły cienkie ogniste linie w ciemności nudnego, powszedniego wieczoru.

Zdawałoby się, że jej złość wyparowała przed progiem domu i że wściekle tupnięcie jest tylko pogłosem niedawnej kłótni; w rzeczywistości Ewelina chciała zwrócić uwagę na swoją obecność, którą należało dostrzec.

Ale Tono Brtko zachowywał się tak, jakby solennie sobie postanowił nie zważać ani na minę żony, ani na jej słowa. Stał przy piecyku i rondelkiem przelewał zagrzaną wodę do miednicy na podłodze, ze wzrokiem wlepionym w spadający z pluskiem słup wody, z ufną radością dziecka, które jest przekonane, że ta zabawa niczym mu nie grozi, wręcz przeciwnie, sprawi wiele uciechy.

– Nie chlap! – zawołała Ewelina. – Bawisz się jak mały chłopiec! – Postanowiła nie tracić więcej słów, zaczęła przebierać w stosie nieuprasowanej bielizny, starczy jej zajęcia do północy.

Brtko zauważył, że spadający z pluskiem słup wody odbijał się od dna miednicy i niczym gejzer tryskał w górę chmurą kropel i pary. Czuł się jak mistrz-artysta pracujący nad dziełem sztuki, które wymaga

głębokiego skupienia i cierpliwości. Zzuł buty, nogawki spodni podkasał do kolan, po czym doszedł do wniosku, że z pewnością będzie mu wygodniej w samej kamizelce. Zanurzył palce w miednicy, żeby sprawdzić, czy woda jest wystarczająco ciepła, i dołał garnuszek zimnej. Tego obrzędu nie można dokonywać w pośpiechu, toteż Brtko go celebrował, wydawało się, że z całą świadomością rozkoszuje się każdym swoim ruchem. Przeniósł miednicę z wodą od pieca w pobliże ławki, wytarł podłogę, ławkę przysunął bliżej do ściany i usiadł, dla pewności rzuciwszy przedtem ukradkowe spojrzenie na żonę. Chciał wiedzieć, czy będzie mógł spokojnie oddać się przyjemności kąpieli, czy też ma się przygotować do odparcia ataku. Nie czuł się zbyt pewnie, bo w tej samej chwili, kiedy uniósł nogi, Ewelina odstawiła z łomotem żelazko na ronderek, którego używała jako podstawki, niczym zawodowy mówca oparła się o deskę umieszczoną na dwóch krzesłach jak kładka, wypięła potężne piersi i zaczęła ostrym tonem:

– Nie masz rozumu ani pomysłu! Wszyscy wiedzą, tylko ty jeden nie, że wystarczy usta otworzyć, powiedzieć *na straż*^[2], żeby ci pomogli stanąć na nogi. Ale tobie to nie chce przejść przez gardło, głupi jesteś, nic nie wiesz, na nic się nie zdobędziesz...

I westchnąwszy bezsilnie, jeszcze sobie ulżyła:

– Przeklęta niech będzie godzina, w której Pan Bóg mnie pokarał i na całe życie złączył z fajtlapą!

Brtko jednak postanowił nie reagować. Siedział oparty o ścianę, z założonymi rękoma, z nogami zanurzonymi w parującej wodzie, i mrużył oczy, aby móc sobie wyobrazić, że żonine wyrzuty dotyczą kogoś innego, całkiem obcego człowieka. Ciepła kąpiel bowiem posiada cudowną właściwość oddalania trosk, napełnia niewysłowioną rozkoszą, spłukuje jad z wdzierających się natrętnie w uszy słów Eweliny.

A mimo to nieoczekiwanie odezwał się do niej:

– Ewelino, wiesz co? – powiedział łagodnym głosem, z wyrazem skupienia na twarzy, jak człowiek, który znalazł sposób rozwikłania trudności. I nagle stracił wątek. Przypomniał sobie o papierosie. Wyłowił go z kieszeni kamizelki, włożył do ust, ale kiedy chciał przytknąć do niego płonąca zapalkę, źrenice rozszerzyły mu się nagle, posłyszał bowiem rozjuszone szczekanie psa. Uniósł nogi, chwilę trzymał je nad powierzchnią wody. Nie ulegało wątpliwości, że kroki za oknem zbliżały się do drzwi.

Oboje wlepili w nie wzrok, gwałtowne pukanie zdradzało niecierpliwość.

– Proszę! – zawołała Ewelina, a Brtko zdmuchnął płomyk zapalki. Zaskoczona Ewelina postawiła rozpalone żelazko na desce owiniętej kocem, zamiast na rondelku. Drzwi otwały się szeroko i w progu stanął Markus Kolkocky, komendant Gwardii Hlinki, z żoną Rużeną, rodzoną siostrą Eweliny Brtkowej.

Goście zastygli w miejscu, jakby się nagle zatrzymali po szaleńczym biegu. Wszystkich ogarnęło zmieszanie, jak zwykle bywa przy niespodziewanych spotkaniach, kiedy zaskoczeni ludzie nie wiedzą, co z tego wyniknie.

Na twarzy Kolkockiego zgasł sztuczny uśmiech, spodziewał się radosnego powitania, a tymczasem skamieniałe postacie gospodarzy wywoływały wrażenie wrogości.

A ponieważ w chwilach nerwowego napięcia zdolni jesteśmy spojrzeć na znane nam rzeczy oczami innych ludzi, wskutek czego przedstawiają nam się zupełnie inaczej, więc i Ewelinę, gdy się ocknęła z osłupienia, przejął wstyd. Jej spojrzenie przesunęło się po rozrzuconych w nieładzie przedmiotach. Nędzna kanafasowa pierzyna na nieposłanym łóżku pogłębiła jej zażenowanie. Mdłe światło żarówki prószło żółtym blaskiem prosto na rząd butelek z przecierem pomidorowym, stojących na kredensie. Wścibski wzrok gości odkrył

również niepozmywane naczynia w zlewie. Ewelina miała uczucie, że deska do prasowania wrzyna jej się w ciało, a gdy spojrzała na męża z nogami w miednicy, ledwo się powstrzymała, żeby jej nie zrzucić... Do tego te brudne talerze i przewrócona solniczka na ceracie! Ewelina w ciągu tych kilku sekund uświadomiła sobie elegancję i wysoką pozycję swej siostry; srebrny lis na szyi i prześliczny kapelusz, dyskretny uśmiech rozjaśniony blaskiem złotych zębów, aksamitna fioletowa suknia z dekoltem w szpic, bijąca w oczy, wypiełgnowana schludność i migotanie naszyjnika i kolczyków. Z gorączkowym pośpiechem, jakby nagle wróciła do przytomności, Ewelina zrzuciła fartuch, a najchętniej zrobiłaby to samo z kretonową sukienką. Miała teraz możliwość porównać z bliska tych dwóch mężczyzn, swojego i siostry, i wolała już nawet nie patrzeć w stronę, gdzie jej mąż skamieniał z głową wciągniętą w ramiona, jak żółw przełknięty nagłą burzą.

Gdyby Brtko ze zdenerwowania czy też dlatego, że coś mu strzeliło do głowy, nie zapluskął nogami w miednicy, może by Kolkocky nie wybuchnął tym swoim grzmiącym śmiechem. Oburącz uniósł nad głowę pękata teczkę, przybierając zwycięską pozę sztangisty, który postanowił dokonać wyczynu ponad ludzkie siły.

– Przyszliśmy, bo chcemy wam pomóc! Najwyższy czas, żebyście się opamiętali. Pomóc, kochani szwagrostwo, nic innego, tylko pomóc wam chcemy! – Jego słowa zabrzmiały jak apel nad głowami tonących, pod którymi załamał się lód. Ręka została podana, trzeba było ją tylko chwycić.

– Rużenko moja kochana! To naprawdę ty? Uwierzyć nie mogę! – wykrzyknęła radośnie Ewelina znad deski do prasowania, łkając ze wzruszenia. Ręce uniosły się niecierpliwie, pragnąc pokonać zakłopotanie. – Och, jaka jestem szczęśliwa, że przyszliście!

Głos brzmiał coraz bardziej przekonująco w miarę napływu szczerości, przeblysków nadziei, nęcących marzeń, które mogły

przekształcić się w rzeczywistość.

Ruzena Kolkocka też nie skąpiła serdeczności:

– Moja mała, kochana siostrzyczko, jakże chciałabym cię przekonać, żeśmy o was ani na chwilę nie zapomnieli!

W postukiwanie wysokich obcasów wkradł się pośpiech.

Obie siostry manifestowały swą radość skwapliwym rzucaniem się sobie w objęcia, urywanym szlochaniem, głośnymi piskami, okrzykami podziwu, wzajemnym przekonywaniem się, że już nigdy, nigdy i nic na świecie ich nie rozdzieli.

– Jesteś równie ładna jak dawniej, Ewelinko, często cię widywałam i wstyd mi było, że z powodu takiego głupstwa... Dziwię się, jak to się mogło stać. Wcale się nie zmieniłaś!

– I ty wspaniale wyglądasz, Rużenko, a ten kapelusik gdzie kupiłaś, u Imrichów? Pokaż mi się, pokaż!

W miarę jak opadała fala radości i westchnień, budziła się obopólna ciekawość; ciała odsunęły się od siebie na odległość ramienia jak przy zwolnionym rytmie czardasza, kiedy partnerzy przyglądają się sobie, aby po chwili zawirować w jeszcze dzikszym tempie.

– No, dosyć już tego, bo jeszcze zwariujecie z radości, popatrzcie lepiej na to! – zawołał Markus Kolkocky, kołyszając z boku na bok pękatą teczką. Wymachiwał nią jak kolejarz latarnią, kiedy czyni rozpaczliwe wysiłki, aby zatrzymać pędzący w ciemności pociąg. Przy każdym ruchu ręki spod rękawa wynurzał się biały mankiet koszuli, a pod nim błyskał złoty zegarek. A może to diamentowe pierścienie migotały tak oślepiająco?

Tono Brtko przejechał ręką po spoconym czole, oczach i twarzy

i w zdenerwowaniu przewrócił miednicę.

Po deskach podłogi popłynęły bystre potoczki wody.

Rechot Markusa Kolkockiego podziałął jak zimny prysznic.

– Potop! – ryknął. – Potop! Ludzie, na pomoc! Ratuj się, kto może!

– Przeskakiwał kałuże na palcach, a żeby się, nie daj Boże, nie pochłapać i nie zbrukać tą nędzą, podwinął spodnie i krzyczał: – Na pomoc! Potop!

– Matko święta, to jest cały on. A mówiłam, nie mocz nóg w kuchni, nie chlap, nie rozlewaj wody, idź z tym na dwór... Ale gdzie tam, możesz go prosić, żadne słowa, żadne prośby nie pomagają... nic... Tu są krzesła, usiądźcie, jejej, zaraz wytrę. Jezus Maria! – Ewelina łapała się za głowę, rozglądała się, biegała z kąta w kąt, wreszcie przyniosła ścierkę i kubek.

– Zaraz wytrę, nie stójcie, na miłość boską, usiądźcie!

Rużena wybałuszyła przerażone oczy i załamała rękę.

– Pali się! Tam!

Pokazała na deskę do prasowania – z koca, który się zajął od żelazka, buchał dym.

Brtko boso przebiegł przez kuchnię i wychlusnął na żelazko resztkę wody z miednicy.

Powietrze przeszył syk, wzniósł się obłok pary, spowijając całą kuchnię, widać było tylko zarysy podskakujących postaci, słyszać było krztuszenie się i urywki zdań.

- Brawo, Tono, brawo! Zrobię cię komendantem straży pożarnej!
- Otwórz lepiej drzwi!
- Udusimy się tutaj!
- Uwaga na włosy, moje panie!
- Fu, co za smród!

Niepohamowany śmiech, chwilami szczerze wesoły, chwilami sztuczny, stopniowo ucichł, ustąpił przed obrzędem, który wymaga powagi, a nawet zbożnego skupienia. Nogi pod stołem znieruchomiały. Tylko jedna bosa stopa ze sterczącymi palcami wciąż ocierała się o drugą, jakby ją uciszała i przywoływała do porządku, aby się dostosowała do uroczystego wyglądu posprzątaney w pośpiechu kuchni i podniosłych wypowiedzi gości. Już nic nie ściera promiennego uśmiechu z twarzy Eweliny. Upięła nieposłuszny kok, a w nowym swetrze wygląda nieco odświeżonej. Jej pulchne ręce spoczęły na stole, spragnione dotknięcia wspaniałych prezentów. I Rużena nie ukrywała radości, jaką jej sprawiała rola hojnej ofiarodawczyni.

– Zakąski ja kupiłam, a wódkę Markus – powiedziała wesoło i poprawiła sobie kapelusz.

Tylko Brtko siedział zamyślony, jakby usilnie mozolił się nad rozwiązaniem jakiegoś problemu życiowego, z którym nie może dać sobie rady. Przeczesał palcami czuprynę.

– I to nie jakąś tam gorzałę – powiedział Markus, wyjmując z teczki i stawiając na stole butelki z barwnymi winietami. – Proszę bardzo, obejrzyjcie z bliska i przekonajcie się sami – deklamował jak iluzjonista, który machnięciem ręki wyczarowuje z niczego bogactwo rzeczy. Butelki wędrowały z ręki do ręki, wszyscy podziwiali bajecznie kolorowe etykiety. – Francuski koniak, oryginalny francuski – podkreślał

Markus Kolkocky – ...taki koniak piją tylko wielcy panowie. A to jest holenderski ser. A w tych pudełkach są...

– ...hiszpańskie sardynki – zaszcebiotała Rużena. – Przynieśliśmy wam też masełko...

– ...i cukier, i ryż, i ceres, i rum – wpadł jej w słowo Markus. – Popijemy sobie zdrowo jak marynarze po rejsie, psiamać, żeby i nasi szwagrostwo nareszcie wiedzieli, że żyją.

– A nas z miłością wspominali – uzupełniła Rużena ze wzruszeniem.

– Co było, to było – ciągnął Markus, wykładając na stół zawartość teczki – położymy na tym krzyżyk, nastały dobre czasy, cudowne czasy, psiakrew, inaczej już nie będzie!

Pusta teczka wielkim łukiem poleciała w kąt.

– Zawsze mówiłam – oświadczyła rozczulona Ewelina – zobaczysz, Toniczku, swojej krwi nie można się zaprzec, Pan Bóg wyświadczył naszej rodzinie wielką łaskę, wyniósł szwagra Markusa na wysoki urząd, to i nie dopuści, żebyś do śmierci mordował się stolarką. Skorośmy się powadzili, to się, da Bóg, i pogodzimy. No i sprawdziły się moje słowa.

Nagle zwróciła się do męża:

– Przynieś ślubny serwis, jest w kredensie, rusz się... i kieliszki. Tylko je wytrzymaj! Nawet nie potrafisz powiedzieć, jak się cieszę...

Rużena przyłożyła palec do ust na znak, że nastąpi chwila uroczysta. Zdjęła z szyi piękny naszyjnik ze sztucznej biżuterii. Miała okazję obdarować siostrę z całą ostentacją. Wstała i uroczyście zapięła Ewelinie naszyjnik na karku.

Ewelina ze szczęścia aż przymknęła oczy i uniosła lekko rękę, jakby całym ciałem pragnęła chłonąć tę niesłychaną rozkosz snucia za opuszczonymi powiekami marzeń o bogactwie. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy siostra ucałowała ją w oba policzki. Biorąc naszyjnik w palce, powiedziała:

– Taka droga rzecz, taki piękny prezent... Doprawdy, jesteśmy waszymi dłużnikami.

– Co takiego? Dłużnikami? – zawołał Brtko. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na jego protest.

Pyknął korek i zabalgotał nalewany do kieliszków napój.

– Wstańmy i wnieśmy toast! – powiedział Markus Kolkocky.

Wysoko nad stołem wyciągnęły się ręce i zadźwięczały kieliszki, po czym wszyscy spojrzeli na Markusa, który energicznym szarpnięciem rozluźnił sobie krawat. Odkaslnął i powiedział z patosem:

– Weźcie takie cielątko, jak to się trzyma matki. A dlaczego się trzyma matki? Dlatego że to jedna rodzina. Piję zdrowie naszej rodziny, żebyśmy zawsze trzymali się razem! Niech żyje!

– Niech żyje! – powtórzyli i wypili do dna. Markus znów nalał i nim podnieśli kieliszki do ust, oświadczył:

– A skoro już o tym mowa, musimy sobie powiedzieć, że to, co było między nami, wymażemy, zalejemy koniakiem, rumem, winem, psiakrew, dobrze wam będzie z nami, a nam jeszcze lepiej, na zdrowie!

– Na zdrowie!

Przy następnym kieliszku ciągnął:

– Do trzech razy sztuka, szwagrunie, nasi ojcowie nie wylewali za kołnierz i my nie będziemy gorsi, i przestań się wreszcie chmurzyć, Tono, basamateremtete, pij, do diabła, bo się zezłoszczę i będzie źle.

Wyczerpani szybkim tempem początku zabawy załomotali krzesłami i usiedli. Jedyne Tono Brtko, ku niemałemu zdziwieniu reszty, stał nadal, a jego postać sterczała nad stołem niby złowieszczą rafa nad powierzchnią wody. Właśnie ta chwila wydała mu się odpowiednia. Mierzył wzrokiem całe towarzystwo, musiał dodać sobie odwagi. Wiedział, że z Markusem niebezpiecznie jest się wdawać w kłótnie. Żeby więc nabrać animuszu, wychylił solo jeszcze jeden kieliszek, pal ich licho, niech sobie myślą, co chcą. I jeszcze jeden, na drugą nogę. Co tam, do trzech razy sztuka.

– Wszystko to puste gadanie – mruknął. To samotne picie wydało mu się nagle niewłaściwe. Gdyby go Ewelina nie ciągnęła za poję marynarki i nie powtarzała ustawicznie: – Siadaj, siadaj, nie rób przedstawienia, wszyscy i tak wiedzą, jaki z ciebie mądrała – już by to zrobił. A tak, na złość stał nadal. I wypił znów, bo wszyscy oniemieli.

– Zwariowałeś czy co? – W głosie Eweliny była zapowiedź wybuchu.

– Pić mi się chce. A ta mikstura mi smakuje. – To była najwłaściwsza odpowiedź. Mógł usiąść.

– Tono to jak dzieciak. Chciał coś powiedzieć. Widziałam to po jego nosie, daję słowo – zaszcebiotała Rużena.

Ośmielony tym stwierdzeniem Brtko znów chciał wstać; żona pociągnęła go z powrotem na krzesło.

– Daj mu spokój – wstawił się za nim Markus.

Dobra wola, okazana przez szwagra, powstrzymała Tona.

– Mam czas – powiedział niedbale i machnął ręką. – Widziałem cię dzisiaj na rynku, na tej... waszej sławnej wieży, niech ją diabli wezmą...

– Chadzałbym ja do was co wieczora... – zaintonowała Ewelina, aby zatrzeć kłopotliwą sytuację. Wszyscy podchwycili:

Kiejbyście mi dali po mej woli

hej, to dziewczę śwarne,

co ma oczy czarne,

co ma oczy czarne...

W końcu i Brtko spróbował zaśpiewać, ale z jego ust wydobył się tylko skrzypliwy, nieokreślony dźwięk. Nie był w stanie stłumić pogardy i ukryć gniewu na szwagra. Wstał i ruchami ręki domagał się ciszy.

– Daj mi spokój, stara – warknął na Ewelinę, kiedy usiłowała zmusić go do milczenia.

– Zostaw go, Ewelino, niech mówi, on jest jak dziecko – ujęła się za nim Rużena.

Brтка nic już nie mogło powstrzymać. Nienawiść do szwagra musiała z niego wytrysnąć bez względu na następstwa. Oczy Kolkockiego umknęły w końcu przed jego pogardliwym spojrzeniem. Markus zawiercił się na krześle i oparłszy łokcie o stół, z głową w dłoniach, udawał zainteresowanie przemową Brtki. Nawet zaczął go podbehtywać:

– No, masz głos, Tono, posłuchamy, co powiesz!

– Mam głos, czy mi go dasz, czy nie – odciął się Brtko tonem wciąż jeszcze trzymanym na wodzy i ciągnął: – Cennymi podarunkami nas zasypałeś... piękne podarunki, hm, kupa podarunków. Ale powiedz, ty... ojciec dobroczyńco, kiedy wypłacisz nam odszkodowanie za dziedzictwo? Hmm! Fiskała żeś przekupił, to rzecz wiadoma, notariuszowi z gruntbuchu zatkałeś gębę koronami, z gruntu, z tego, co najważniejsze, nas obrałeś, a pszczoły? Od razu na wiosnę mi wyginęły... A coś mi powiedział, co, kiedyś się ubiegał o robotę przy tej waszej babilońskiej wieży na rynku? „Mam zdatniejszych i tańszych majstrów, Tono...”. No, co teraz powiesz?

– Piosenkę sobie zaśpiewam – wrzasnął Markus – rażną, żebyś przestał głądzić! Czardasza! – Strzelił palcami:

Kenderica bogata

piękna dziewczka bogata

Ewelina skwapliwie mu zawtórowała, uważając to za mądre i szczęśliwe zażegnanie kłótni. Także Rużena podchwyciła refren:

jeszcze lepsza biedna

do roboty sposobna...

Brtko wymachiwał rękami jak szalony. Protestował przeciw takiemu bezprawiu. Tupał, walił pięścią w stół, chciał usłyszeć odpowiedź na swoje pytania. To były kpiny ze sprawiedliwości. Poczul się nagle jak opuszczone dziecko w płonącej stodole.

– To podłość, podłość – wołał – odpowiedz mi, gadaj, jeśliś taki mądry. Teraz mów, teraz!

Nie zważali na niego. Śpiewali wrzaskliwie, zagłuszyli Brtko, ale w końcu jego upór zaniepokoił ich i rozdrażnił. Markus dał ręką znak,

że chce zabrać głos, i śpiew ucichł.

– Co było, to się zmyło, Tono, przecież jesteśmy rodziną, nie? No to wypijmy jeszcze jedną kolejkę, koniak rraz!

– Koniak! Koniak! – wołały kobiety. Ewelina chwyciła butelkę, pomogła Markusowi zażegnać wiszącą w powietrzu kłótnię. Kiedy z nadmiernego pośpiechu przelała kieliszek i pokapała obrus, Rużena klasnęła i wykrzyknęła:

– Chrzcziny, nareszcie chrzcziny! Ewelinka urodzi dziecko!

– Bliźnięta, cha, cha, żeby nadrobić zaległości – dodał Markus.

– Gdzie tam, jestem już stara baba – broniła się Ewelina. Podawała najpierw kieliszek mężowi. – A ty nabierz rozumu, pleciugo!

– Nie wypiję, póki nie usłyszę prawdy! – Brtko z wściekłością odtrącił rękę żony.

W napiętą atmosferę wpadł ryk Markusa:

– Ty zafajdany krzykaczu, ty stolarzyno, ty tchórze! – Groźnie uniósł się z krzesła, opierając się oburącz o poręcz. – No to posłuchaj, glisto niedonoszona! Wiesz, kim bym dzisiaj był, gdyby nie to, żeś się nawet do Gwardii Hlinki nie zapisał?! Napiętnowali mnie jako alibistę. Wiesz, co to jest alibista? Ty... ty... alibabo! Che, che...

Upił z kieliszka, splukał gniew i zmuszając się do cieplejszego tonu, dodał:

– Żeby więc, szwagrze, raz na zawsze wyrównać rachunki... Wrona do wrony, a człowiek do rodziny ciągnie... Tono, niech mnie szlag trafi, dla twojego dobra przyszedłem. Nie tylko, że się z tobą z dziedzictwa sprawiedliwie rozliczę, słuchaj dobrze, do cholery, to ci powiadam,

jakem Kolkocky – rąbnął pięścią w stół, aby podkreślić wagę swoich słów – ale jeszcze mianowałem cię aryzatorem Lautmanowej... psiamać! Tu masz dekret, na! Teraz mi już wierzysz, co?

Wyciągnął z kieszeni kamizelki złożony arkusz papieru i cisnął go Brtkowi w twarz. Otarł czoło po tym wyczerpującym wystąpieniu.

Ewelina zawołała w uniesieniu:

– Wiedziałam! Jak mi Bóg miły, ja to od samego początku przeczuwałam! – I z pijackim, bełkotliwym okrzykiem rzuciła się Markusowi w ramiona: – Gołąbku mój, wybawco nasz!

Trzymając Ewelinę na kolanach, Markus zaśpiewał:

Taką ja frajerkę mam,

ma ona na rynku kram,

sprzedaje grule...

– Żadne grule! – zawołała rozochociona Ewelina, machając przecząco ręką. – Lepszy, fajnowny towar będziemy sprzedawać!

Potem kobiety odbiegły do piecyka przygotować coś na ząb. Brtko ścisnął w dłoni kieliszek. Mógłby go rozgnieść. Wystarczyłoby zewrzeć mocniej palce, a rozleciałby się w kawałki. Ale to takie interesujące patrzeć przez szkło kieliszka. Świat wydaje się inny, zmniejszony, zniekształcony, lecz przezroczysty, tak że nawet przez szkło można by trafić w tę potwornie wielką tarczę za stołem, jaką jest głowa Markusa. Żeby strzał był celny, trzeba przymknąć jedno oko. I nagle Tono doznał wrażenia, że już nacisnął spust. W tym miejscu, gdzie była tarcza, buchnął ogień. Oślepiający blask drogiego kamienia na papierośnicy Markusa niemal zaparł mu dech w piersi. Kolkocky, jakby czytał Brtkowi w myślach, powiedział:

– Spokojna głowa, szwagrze, i ty dojdiesz do majątku.

– Lekko się wam żyje.

– Ejże! Komu?

– Powiadam, lekko się żyje kanciarzom.

– Kogo masz na myśli?

– Co mają przyzwoici ludzie ze swojej uczciwości?

Kolkocky wyciągnął dłoń do Brtka, a Tonowi wydało się, że jest posypana ziarnem.

– Dziobnij sobie, dziobnij – ćwierknęła przy piecyku Rużena. Wtykała siostrze do ust kanapkę.

– Oj, dziobnąłbym, dziobnął – powiedział Brtko, jakby te słowa były skierowane do niego, patrząc przy tym na dłoń Kolkockiego.

– Skąd człowiek może wiedzieć, czy ziarno nie jest zatrute? Tylu się dopchało do tego aryzatorskiego koryta, naćpali się jak świnie, ale ja się tym brzydzę – perorował Brtko.

– Już jesteś gotów, brachu, ululałeś się, cha, cha! – Markus machnął ręką.

– Szwagierku kochany, masz, przegryź – zaszcebiotała Rużena, wrywając Brtka z zadumy. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy wsunęła mu w półotwarte usta sardynkę.

– Jeszcze go karm, bohatera – powiedziała z udanym gniewem Ewelina.

– Czego od niego chcesz, do pańskiego życia człowiek musi przywyknąć. Kiedy myśmy zaczęli...

Usiedli.

– Niedawno – ciągnęła Rużena – mój doktor, ta buła, zabronił mi palić, wyobraź sobie!

Ewelina nie posiadała się ze zdumienia.

– A ty?

– A ja właśnie sobie zapalę. I wy zapalcie – zwróciła się do siostry i szwagra. Markus wsunął obojgu papierosy do ust i zapalił je drogocenną zapalniczką.

Wszyscy wydmuchiwali kłęby dymu i rozkoszowali się tym jak małe urwisy zakazaną zabawą. Spowici zasłoną dymu milczeli znużeni. Wtem w to zakopcone milczenie wpadł głos kukułki ze ściennego zegara.

– Napijmy się! – zawołał Kolkocky. – Na szczęście, na pożegnanie!

I znów migotliwe błyski szkła przy wychylaniu kieliszków, wielokrotnie powtarzany obrzęd podnoszenia ich do ust, rozgłośnie podzwanianie, płonące oczy, urywany śmiech – towarzystwo postanowiło upić się do nieprzytomności.

Butelek pod stołem przybywało, twarze przybierały coraz bardziej błędny wyraz, włosy były rozczochrane, na kanafasową pierzynę poleciał wielkim łukiem damski kapelusz, zdobna diamentem papierośnica chłodziła bosą stopę Brtka pod stołem, krawat ze złotą szpilką wisiał na zlewie z nieumytymi naczyniami. Z dymu

zasnuwającego izbę wyskoczył dziób kukułki i wykukał północ.

– To-no, To-no, To-no – skandowali ochryple biesiadnicy, a Tono Brtko, z wytrzeszczonymi oczami, wyginając się w biodrach, jakby go chwyciły drgawki, odsunął się o krok od stołu i ochoczo, ale z nietajoną ironią powiedział:

– Jak sobie państwo życzą... Człowiek biedny to taka mała pa na łańcuszku. Jeśli taka wasza wola, nie tylko wypiję, ale będę robił z siebie pajaca choćby do samego rana!

– Żivijooo!

– Brawooo!

Na chwilę zapadła cisza. Tono Brtko jeszcze raz omiótł wzrokiem siedzące za stołem towarzystwo, które go sprowokowało do takiego szaleńczego wyczynu, lecz oto już z ręki do ręki wędrował kieliszek za kieliszkiem. Tono przytykał do ust podawane kieliszki, a reszta w milczącym napięciu przyglądała się, jak z gulgotem wychyla ich zawartość.

Po dwunastym, ostatnim, Rużena zawołała jak we śnie:

– On jest nadzwyczajny!

– Brawo, Tono!

– Żivijo! Żivijo, hip, hip, hura! – klaskali trochę z zakłopotaniem, a trochę z ulgą, ale Tono, jakby postanowił nie dopuścić, aby opadła fala ich pijackiego podziwu, rąbnął ostatnim kieliszkiem o podłogę i hops – jednym skokiem znalazł się na stole.

Bosy, w kamizelce i podwiniętych do kolan spodniach, stał teraz nad nimi, widział ich rozczochrane włosy i podniecone twarze, a sam

czuł się jak odpustowy wywoływacz, mądrzejszy od tych, którzy go słuchają i podziwiają. Splunął w dłonie, wznosił ręce na znak, że prosi o ciszę, po czym z pijackim zapamiętaniem przyłożył dwa palce pod nos i zawołał:

– Mówi Wódz! Wódz przemawia! – I nagle wrzasnął szczekliwie:
– Wajnwilich, wajnen, wajnsinige! – Zaniemówili z podziwu, gdy wybałuszywszy jak w ekstazie oczy i gestykulując konwulsyjnie, zaczął naśladować przemawiającego Adolfa. Wyrzucał z siebie zionącym wściekłością głosem urywki niezrozumiałych słów: – Undcunach, undendrajfir, brotrot, glikfernichtamal hergot bajdenfolenpolendrunknicht, ibeljubel firnajshinaus, fermeżausmasziren lasen hiphajl, hiphajl, hiphajl!

Kiedy umilkł, wyglądał na wyczerpanego i zupełnie trzeźwego. Kolkocky tak był porwany tym, co słyszał, że niemal jednocześnie z mówcą wyprężył ramię w faszystowskim pozdrowieniu i najzupełniej poważnie wrzasnął:

– Sieg heil!

– Gajl! Gajl! – powtórzył Tono i zeskoczył ze stołu.

– Kochany szwagierek! – zawołała Rużena. Ale Tono nic nie słyszał, nic nie widział, stał z ręką przyciśniętą do ust, pragnął splukać z języka to obrzydlistwo, gdzie się jednak podziać, czy wybiec na dwór, czy tylko dobiec do miednicy? Świat wirował mu przed oczyma, nie mógł już powstrzymać kwaśnawej strugi. Potknął się, runął jak kłoda na podłogę. Wszyscy osłupieli. Z pijackim otępieniem gapili się, jak dźwiga się na łokciach i patrzy na kałużę przed sobą. Odwrócił z trudem głowę, spojrzął na nich i powiedział chrapliwie, jakby żuł każdą sylabę:

– I czego wywalacie gały jak na jakiś dziw? Pijanego nie widzieliście? No to... patrzcie tutaj... gadziny! Tu pode mną... wasz świat... jak w lustrze...

I tak go rozdrażnił obraz tego zaświnionego świata na podłodze, że pacnął weń dłonią, a wszyscy uskokczyli, przerażeni, jakby ujrzeli coś strasznego. Rużena przeżegnała się spiesźnie. Ewelina, opamiętawszy się, rzuciła się do męża z zaciśniętymi pięściami, rozsadyła ją wściekłość, krzyczała:

– Puśćcie mnie, puśćcie do tego potwora... do tego ścierwa, do tej pijanej świni... Puśćcie! Puśćcie!

Tłukła Brtka gdzie popadło. Na twarzy Tona mignął grymas ironicznego uśmiechu, a gdy Ewelinie opadły ręce ze zmęczenia, wycedził:

– Już ci lepiej? Bo ja się czuję pod psem...

– Tak, tak – westchnął kaznodziejsko Kolkocky. – Człowiek chce mu pomóc, a on się tu... tarza... jak świnia. – Czknął. – Przepraszam za wyrażenie.

Brtko powlókł się do łóżka i zwalił się na kanafasową pierzynę. Rużena w żaden sposób nie mogła włożyć porządnie kapelusza, wciąż jej się przekrzywiał.

3

Ewelina już się umyła do połowy ciała, wytarła do sucha grubym ręcznikiem, jeszcze tylko musi po sobie sprzątnąć i upiąć w węzeł włosy spływające czarną falą na nagie ramiona. Pogwizdywała, podśpiewywała, miała ogromną ochotę na pogaduszkę, ale Tono jeszcze spał, jak gdyby to nie był szczególny dzień, można rzec, niemal świąteczny. Przyniosła ze studni dwa wiadra wody, w piecyku już huczał ogień, trzeba jeszcze zemleć trochę kawy. Ponościło ją, najchętniej posunęłaby wskazówki ściennego zegara.

Miedziany łomot móżdżierza wdarł się w sen Brtka jako melodyjna gra kurantów.

– Kto tam? – spytał zza drzwi chatki z bajki.

– To ja – odparła wesoło Ewelina i z móżdżierzem w ręku stanęła w drzwiach.

– Jesteś jakaś inna – powiedział pogrążony jeszcze w półśnie Brtko.

Umyta, uczesana, w kwiecistej sukience z bufiastymi rękawami sprawiała na nim wrażenie wielkiego, egzotycznego motyla.

– Wybierasz się na bal? – spytał.

– Czuję się jak odmieniona – zaćwierkała Ewelina – taka jestem szczęśliwa, wstawaj już, wstawaj... Po mleko musiałam iść aż za most. Wyobraź sobie, krasula Andraszów się ocielila, urodziła martwe cielę. Dobrze spałeś? Bo ja oka nie zmrużyłam...

Łomot miedzianego móżdżierza zlał się z dźwiękiem sygnaturki.

– Wiesz, co robię, Toniczku?

– Trumnę – powiedział zaspanym głosem.

– Ty chyba jeszcze śpisz?

– Śnił mi się biały motyl.

– To dobry znak, biały motyl oznacza szczęście – biała chorągiew
– miłość bliźniego...

Był zdumiony jej łagodnością i wylewnością, spuścił nogi z łóżka, żeby się całkiem otrząsnąć ze snu. Przeciągał się, ziewał.

– Biedne zwierzęta, zupełnie o nich dzisiaj zapomniałam – wykrzyknęła nagle Ewelina. Nalała mleka do rondelka i wyniosła przed dom. Z lekkim uśmiechem obserwowała czarnego kota, jak ostrożnie podchodzi do Esenca, wlepiając w niego błagalny wzrok.

– Daj Boże dobry dzień, sąsiadko – zawołał jednoręki trafikant, który akurat wychodził do pracy. – Jakoś wcześniej dziś wstaliście.

– A wcześniej, wcześniej – odpowiedziała i nie podejmując rozmowy, wróciła do kuchni.

– Trzy lata przechowywałam ten miód. – Uśmiechnęła się słodko do siedzącego przy stole męża. – Przysięgam sobie, że go nie tkniemy, dopóki nie pogodzimy się z Markusem i z Rużeną. Pamiętasz, kiedy go nam przynieśli? Pomyśl tylko... całe miasto będzie się trzęsło... Oni przyszli do nas. Jesteśmy im potrzebni, nie tylko oni nam.

Z kopiastej łyżki miód ściekał na kromkę chleba. Przezroczysty, pachnący, błogosławiony miód, byłoby grzechem nie wylizać go do ostatniej kropli.

Z kubków na stole unosiła się para.

Brtko był tylko w podkoszulku, nawet nie zapiął szelek. Najpierw musi zaspokoić głód. I Ewelina siedziała przy stole, po raz pierwszy od dawna jedli razem śniadanie.

Na podwórzu rozległo się szczekanie. Trudno przekonać psa, żeby uważał kota za przyjaciela. Ledwo wychłęptał mleko i oblizał się, przestał Esenca znać. Na gałęzi orzecha czuł się pewniejszy. A kundel, uniósłszy ku drzewu pysk, obiecywał mu zemstę.

Szczotka do ubrania też jest atrybutem świątecznego poranka, Ewelina nie ścierpiałaby na niedzielnym garniturze Tona plamki czy pyłku.

– Przecież nie pójdziesz do własnego sklepu jak gmyr – powiedziała.

Tono był zdania, że podwórko przed domem nie jest najważniejszym miejscem do tego obrzędu.

– Proszę cię, już dosyć, zachowujesz się, jakbym był małym chłopcem – bronił się.

– Czasami jesteś gorszy od małego chłopca, nie zapominaj, że od dziś jesteś właścicielem sklepu. Toć nie możesz iść w takich zabłoconych butach, zwariowałaś czy co?

– Przecież nie musi nas cały świat widzieć – protestował.

– A dlaczego by nie, chyba się nie wstydzisz? Wszyscy nam będą zazdrościć, zobaczysz!

Daremnie Brtko chował nogi, daremnie usiłował się wyrwać,

ulotnić się jak najszybciej z podwórza. Ewelina nie wypuściła go ze swoich szponów. Czyściła go z przodu, z tyłu, w końcu wyjęła mu z rąk kapelusz i plunęła na szczotkę.

Na nieszczęście w tej chwili na podwórzu pojawił się sąsiad, brzuchaty, łysy człowieczek z fają aż po pępek.

– A to się goście zasiedzieli, a to się zasiedzieli, co? Daj Boże dobry dzień!

– Daj Boże, wujciu Piti. – Brtko najchętniej zapadłby się pod ziemię. Tylko tego gadatliwego dziadygi tu brakowało, zaraz roztrąbi wszystko po mieście. Przygląda mu się jak małpie w klatce.

– Tono, wyglądasz jak oblubieniec, który od samego ołtarza dał drapaka. Na bankiet go wyprawiasz, Ewelino?

– Ani na wesele, ani na bankiet, do raju – zażartowała Brtkowa.

– Słyszałem, słyszałem, nie mogłem spać w nocy. Goście długo siedzieli?

– Nie wiem – burknął stolarz i sąsiad poszedł jak zmyty.

Brtko poczuł się jeszcze podłej, świąteczny garnitur go krępował, sztywny kołnierzyk uwierał, krawat ścisnął szyję, kapelusz doprowadzał do rozpacz, a na dokładkę musiał wysłuchać pouczeń Eweliny.

– Tylko żebyś się nie dał ocyganić. Nikomu nie wierz! Na kredyt nie dawaj. Pan Darmodał nie żyje, kto nie ma pieniędzy, niech nie pije. Jak u starego Holca, ty też wywieś taką tabliczkę na ścianie, nie zaszkodzi. Poszoł! – krzyknęła na psa, który przyplątał jej się pod nogi.

Brtko już nie było. Daremnie Esenc wysuwał łeb z budy, daremnie skomlał. Tylko wiatr bawił się furtką, zamykał ją i otwierał.

4

Brtko trochę się wystraszył, gdy otworzył drzwi sklepu. Ni z tego, ni z owego zabrzączał nad nim dzwonek. Pokręcił głową i zamamrotał sam do siebie:

– Do diabła z takim interesem! Na co tu dzwonek? Też pomysł...

Otwierał i zamykał drzwi sklepiku, nie mógł się temu oprzeć, to urządzenie alarmowe przypadło mu do gustu, bawił się nim jak dziecko znalezione przypadkiem zabawką. Chwilę stał na progu z głową odchylną do tyłu, zastanawiając się nad praktyczną wartością tego urządzenia. Potem wyszedł z powrotem na ulicę, wyjął dekret i porównał go z szyldem: ROZALIA LAUTMANOWA, WDOWA, KORONKI, WSTAŻKI, GUZIKI – aby się upewnić, czy się nie pomylił, czy trafił pod właściwy adres.

– Ten gibus jest tu całkiem zbyteczny! – zaopiniował bez ogródek, dotykając palcem dzwonka. Wkroczył do sklepu i wówczas przekonał się, że to stwierdzenie było zbyt pochopne. Ostrożnie, na palcach – jak człowiek stąpa, kiedy mu zależy na tym, żeby nikogo nie obudzić – zrobił krok, potem jeszcze jeden. Oczy stopniowo oswajały się z ciemnością. Wydawało mu się, że w mrocznej głębi sklepu za kontuarem dostrzega jakąś żywą istotę, tak, była to skulona postać siedzącej nieruchomo staruszki. Chrząknął, doznał wrażenia, że zbudził śpiącą sowę, coś zaszurało.

Rozalia Lautmanowa była przekonana, że to, jak zwykle, reumatyzm wyrwał ją z drzemki. Trapiły ją też inne dolegliwości podeszłego wieku, wskutek czego prawie się nie interesowała tym, co się dzieje w mieście i wokół niej.

Całą jej uwagę zaprzętał ból przy poruszaniu palcami. Dobrze się

niekiedy namęczyła, zanim je zgięła, a gdy jej się to wreszcie udało, trwało długą chwilę, nim znów je rozprostowała. Teraz jednak spytała z ożywieniem:

– Młody pan sobie życzy? Coś ekstra, prawda?

Odświętnie ubrani panowie byli nieczęstymi gośćmi w jej sklepie. Chciała mu okazać zainteresowanie i szacunek. Dlatego wstała. Ale nie mogła oderwać się od swoich dolegliwości. Dłonią prawej ręki rozcierała palce lewej, aby pobudzić je do życia. A ponieważ wydało jej się, że w znieruchomiałym wzroku klienta dostrzega współczucie dla swego cierpienia, zwierzyła mu się ze starczą otwartością:

– Młody pan takich kłopotów nie ma, prawda? Reumatyzm, paskudne bóle, palce ciągle jak lodowe sople... Pan doktor mówi: gicht... Nie gicht, panie doktorze, starość, powiadam, lata.

Brtko, ogarnięty szczerą litością dla staruszki, rzekł:

– To jeszcze nic... Znała pani starego Sekeraka? Nie tego lodziarza, jego brata, co to rąbał lód. Gdyby pani jego widziała. Tak... niech pani spojrzy, tak mu ręce wykręciło. – Brtko z przejęciem demonstrował tragedię nieszczęśnika.

– Wykręciło, mówi pan? Ajajaj... Co za nieszczęście... Co za nieszczęście – zalabidziła staruszka, bo choć ani słowo z tego, co mówił Brtko, nie dotarło do niej, z gestów domyśliła się, że chodzi o bolesne zniekształcenie palców. Już od lat zdana była jedynie na swoje oczy, ponieważ słuch od dawna przestał jej służyć. Nie spuszczała wzroku z ust mówiącego, nie uroniła ani jednego ruchu, zwłaszcza jeśli zależało jej na rozmówcy. A teraz natychmiast się zorientowała, że ma do czynienia z człowiekiem delikatnym. – Jak się ta pani nazywała?

Nie powinna była zadawać tego pytania. Brtko się zirytował. Zaczął krzyczeć:

– To nie była kobieta... Sekerak, nie ten lodziarz, tylko jego brat, który najmował się do rąbania lodu.

– Ahaaa – powiedziała Lautmanowa tonem niebudzącym wątpliwości, że zrozumiała, podkreślając to jeszcze przyłożeniem zgiętego palca do górnej wargi.

– On przez całe życie jadł tylko solone śledzie, najwyżej czasem przy święcie łazanki. Z makiem albo z powidłami. Łazanki – powtórzył głośniej.

– Nie ma lepszego jedzenia jak szabasowa faszerowana ryba – oświadczyła staruszka z błyskiem łakomstwa w oczach, promieniejąc z radości, że przypadek zesłał jej sympatycznego człowieka, z którym tak przyjemnie i od serca może porozmawiać o swoich upodobaniach i strapieniach. Rozgadała się: – Bardzo prosty przepis. Bierze się jedno jajko – wyliczała na palcach – może być i dwa, jak jest więcej osób, ale ja i z jednego jajka mam potąd – dotknęła ręką szyi. – Albo i samo mleko, a jak nie ma mleka, może być woda... ciut mąki i kawałek bułki... rozpływa się w ustach... delikates. Sos na kwaśno albo na słodko, jak kto woli. Mówiłam Imrowi, on już też nie jest młody, nie ma głowy, to ja mówię: nie zapomnij mnie przynieść butelki octu...

Urwała, bo spostrzegła, że ze wzroku obcego pana zniknęło zainteresowanie.

– To nic, to nic – usprawiedliwiał się Brtko, zacierając z zakłopotaniem ręce – bo ja jestem, jak się to mówi, pani aryzator... – Sięgnął do kieszeni, żeby wydobyć dekret.

Staruszka wysunęła głowę, teraz już z bliska patrzyła na usta mówiącego, bo zdawało jej się, że coś umknęło jej uwagi.

– Że co? – Przyłożyła rękę do ucha.

– Ustanowili mnie aryzatorem paninego sklepu – powtórzył uroczyście Brtko. Był zadowolony. Doszedł do wniosku, że z tą gadatliwą staruszką porozumie się bez trudu.

A staruszce, której ruchy warg Brtko przekazały wielokrotnie wymówioną literę „i”, zrobiło się błogo na sercu.

– Aha, guziki! – zawołała radośnie i zaczęła gorliwie ściągać z półek i prezentować posiadany na składzie towar: – Jakie młody pan sobie życzy, duże, małe, perłowe, kolorowe, matowe, błyszczące, wszystko mamy, ogromny wybór...

Pudełka wędrowały z półek na kontuar. Staruszka otwierała jedno po drugim, wysypywała zawartość i spod oka zerkiała na zdumionego Brtko. Mądry kupiec nie patrzy klientowi na ręce. Niech sobie wybierze podług własnego gustu. Nie wytrzymała jednak.

– Na męski gust nie zawsze da się polegać. Ja bym młodemu panu, za pozwoleniem, poradziła... Do jasnego paltota najlepsze będą te... nie... Te mają jeszcze delikatniejszy odcień... A może młody pan ma niechcący kawałek materiału, co by był na wzór? Ajaj, te mężczyźni...

Milczący klient sprawiał wrażenie niezadowolonego, więc staruszka uznała, że musi mu bez osłonek wyjaśnić, jak się sprawy mają:

– Podobno jest wojna... towar nie dochodzi. Nie pomagają starania Imra. Nie pomagają, biedak, co on się nalata...

– Pani Lautmanowa! – Brtko zaczął tracić cierpliwość. Ogarnęła go obawa, że się z głuchą staruszką nie dogada. Więc spróbował jej wytłumaczyć całą sprawę własnymi słowami. Mówił głośno, pomagając sobie gestykulacją: – Ustanowili mnie aryzatorem paninego sklepu. To znaczy, że ja jestem pani Aryjczyk, a pani jest moja Żydówka. Ponieważ jest pani Żydówką, zostanie pani zaryzowana, znaczy się, ja panią

zaryzuję, paniny sklep, od dziś ten sklep jest mój, mam na to papier z urzędowym stemplem. Zrozumiała pani?

Zacietrzewiony swoją przemową nie spostrzegł, że staruszka mimo wysiłków nie może czegoś pojąć. Stała ze zwieszonymi rękoma, w końcu uniosła głowę i pokusiła się o miły uśmiech wprost w obiektyw.

Brtko bowiem, korzystając z chwili milczenia, jakie zapadło po jego słowach, przyłożył do oka guzik i przez dziurkę, niby przez monokl, przyglądał się jej twarzy. Calusieńka pokryta była siatką niezliczonych drobnych zmarszczek i bruzd. Włochata brodawka nad lewym kącikiem ust przypominała mu nieżywego pająka, przewróconego na grzbiet. Tylko oczy zdradzały, że tli się w niej jeszcze spory zapas ukrytej energii. Brtko pacnął guzikiem o kontuar.

– Ma to pani tutaj czarno na białym – powiedział i podsunął jej dekret. – Proszę bardzo – dodał z tak wspaniałomyślnym gestem, jakby to była bombonierka albo prezent.

Staruszka wzięła papier, okazując żywe zainteresowanie. Już od bardzo, bardzo dawna nie zdarzyło się, aby ktoś tak usilnie starał się ją zabawić.

– Młody pan jest żartowniś – powiedziała uprzejmie. – Co dobrego młody pan mi przyniósł? – Trzymała dekret w drżącej ręce i odsuwając go daleko od oczu, usiłowała rozwikłać przyczynę wesołości doręczyciela. – Tak, tak, bardzo ciekawe – stwierdziła, kiwając głową, i gdyby nie nękała jej lekka niepewność, czy się jednak nie myli co do osoby przybysza, chyba nie zdołałaby ukryć dumy, że ktoś sobie o niej przypomniał. – Młody pan jest może egzekutor?

– Jaki egzekutor, aryzator...

– Od razu to sobie pomyślałam, taki przyjemny pan. Bardzo dziękuję... Imro pod tym względem jest po prostu przesadny. On już

trzydzieści lat zajmuje się moją buchalterią, moimi podatkami... w każdy piątek przynosi szabasową rybę, czasem ślize, czasem ukleje albo karpia... Solidny człowiek, przyjaciel nieboszczyka, dokładny, dobry z kośćcami – zakończyła, oddając Brtkowi dekret. – Pan się nie pogniewa... ja czasem nie słyszę dobrze... ile pan ma lat? Najwyżej czterdzieści, ajaj... ja też mam dwie córki... nie chce młody pan usiąść?... jak dwie róże, Klarika i Pirika... a mój nieboszczyk Heinrich... to było wielkie nieszczęście... Przepraszam, jak młody pan się nazywa? Jak? Krtek? Bardzo interesujące nazwisko... no, niech pan Krtek usiądzie... Pan Krtek jest z naszego miasta?

– Ja nie nazywam się Krtek, ja się nazywam Brtko. Tono Brtko!

– Tak, tak, dzieci powyrastały, wszystko się przez te lata zmieniło... pożeniły się, powychodziły za mąż... ja już całkiem nie ruszam się z domu i nawet nie mam tego życzenia, może młody pan mi wierzyć... świat się zmienił. Bardzo...

Do sklepu wszedł czerstwy starzec, wysoki i kościsty. Trzymał się niezwykle prosto, miał ostrzyżone krótko włosy, rażny żołnierski krok i łagodne spojrzenie. Ubrany był w gumowy płaszcz, a u boku kołysała się rybacka torba. Zerknął na Brtkę i zwrócił się do staruszki:

– Dzień dobry, Rozalio.

Oparł łaskę o kontuar i rozłożył ręce. Staruszka śledziła jego ruchy z przyjacielskim oddaniem, choć znała to już na pamięć.

Rybak opowiadał:

– Wyobraź sobie, taką rybę złapałem... szczupaka. Aż mi się serce rozśpiewało, ciągnę, ale kiedy zobaczyłem te oczy, Rozalio, te oczy, jak Boga kocham, tylko nieme stworzenie potrafi tak smutno patrzeć. Powiadam sobie, nie, serce człowieka nie może być tak okrutne – i siup! Wracaj, ślicznotko, wracaj, rybko, do wody...

– Imro – powiedziała z prośbą w głosie Lautmanowa – pan Krtek czeka...

– Ach taak, przepraszam, panie Krtek, pięknie witam, nie bez kozery stara tak cię nazwała^[3], cieślą jesteś, ale ducha Chrystusowego w tobie nie ma. A bodaj cię, a bodaj cię, nicponiu, ale jakoś się chyba dogadamy, co?

Staruszka była uszczęśliwiona, że się nie omyliła. Przyjazny uśmiech i serdeczne gesty przyjaciela utwierdziły ją w tym błogim przekonaniu. Rybak objął pana w odświętnym garniturze za ramiona i przygarniał go do siebie radośnie jak odnalezionego brata. Staruszkę przeniknęła cicha radość gościnniej pani domu: niech sobie mężczyźni pogadają o swoich sprawach, ona przez ten czas przygotowuje w kuchni herbatę.

– Ty się na mnie, Brtko, nie gniewaj – powiedział łagodnie rybak do nachmurzonego Brtko. – To nie moja wina, że zapuściłeś sieci w bezrybny staw...

– O czym pan mówi, panie Kucharsky? Czy to ma być dowcip? Nie rozumiem pana.

– Zaraz ci to wytłumaczę. – Starzec zniżył głos. – Przede wszystkim zapamiętaj sobie, że tu się nie obłowisz.

– Ja nie chcę się obłowić!

– No to po co tu laźlesz – zawołał rybak ostrzej, niż zamierzał, i żeby zatuszować wybuch gniewu, dodał: – Choć właściwie jestem zadowolony, że to ty zostałeś aryzatorem sklepu Lautmanowej, a nie jakiś łajdak.

– O co panu chodzi, panie Kucharsky? Coś mi się zdaje, że wtyka

pan nos w nie swoje sprawy.

– Jesteś w błędzie, mój drogi! – Starzec uniósł palec. – Wprawdzie nie mam akcji w tym interesie, ale żebyś wiedział, to mój rewir...

– Mam dekret. Sklep Lautmanowej od dzisiaj urzędowo należy do mnie!

– Nie pień się, Brtko, ja ci dekretu nie odbiorę. Posłuchaj. Przecież ty nie jesteś zły człowiek, do Gwardii Hlinki nie należysz, myślę, że powinieneś inaczej mówić...

– Czego pan chce, panie Kucharsky, niech pan powie, czego pan chce?

– Nic nie chcę. Absolutnie nic. Chcę ci tylko uświadomić, że dałeś się złapać jak głupiec. Oszukano cię...

– Oszukano? Mnie? Nieprawda! Pan myśli, że się dam sprowokować? Mógłbym pana wyrzucić... Nie ma pan tu nic do roboty. Mógłbym pana zadenuncjować! I zrobię to! Bolszewik, myśli pan, że nie wiem?

– Nie podskakuj, Brtko, nie irytuj się. Skoroś taki mądry, to pewnie wiesz także, że stara Lautmanowa nie żyje ze sprzedaży guzików?

Brtko zaskoczony uniósł głowę.

– A widzisz, dudku! Tylko się przypatrz, co ci dali... Widzisz? Grzyb, pajęczyny, puste pudełka, no przypatrz się, zmurszałe regały, poodpryskiwany sufit, zaduch starzyzny – jednym słowem wielkie nic. A na dodatek – stara głucha Żydówka. Dochodowe sklepy panowie przydzielili sobie. Kolkockiemu, chłopcze, nie chodziło o twój dobrobyt – ciągnął starzec. – Nabrał cię, łajdak!

W wiecznie niezdecydowanego Brtka wstąpiła nagle energia. Zrobił krok w kierunku drzwi.

– Czekał no!

Stolarz zatrzymał się.

– Ja go o to spytam.

– Kogo i o co chcesz pytać?

– Jeśli to prawda – wymamrotał niepewnie Brtko – oddam mu dekret. Niech się nim wypcha – podniósł głos. – Niech nie bajtluje uczciwego rzemieślnika! – krzyczał. – Do widzenia, panie Kucharsky. – Znów ruszył do drzwi.

– Miej rozum, Tono! Nie znasz swojego szwagra? Chcesz lecieć do niego z pretensją, że nie dał ci *mustr magazin*, jaki wziął sobie, tylko taką norę?! Co ty, nie wiesz, że to byłoby daremne i niebezpieczne?

– Więc co mam robić? – spytał Brtko.

– Ty nic. Sam wszystko załatwię. Usiądź i posłuchaj.

Brtko dał się przekonać.

Rybak, chodząc po sklepie, mówił:

– Przede wszystkim Lautmanowa, jak powiedziałem, nie żyje ze sprzedaży guzików, lecz z datków bogatszych Żydów... Siedź, mówię ci, nie jest tak źle. Ty na tym nie ucierpisz. Stowarzyszenie Dobroczynne podwyższy składki, załatwię to z fryzjerem Katzem, a ty...

– A ja? – powtórzył stolarz.

– Ty zostawisz Lautmanową w spokoju. Tylko tyle. I za to będziesz dostawał na utrzymanie. No?

Brtko milczał.

Kucharsky splunął w dłoń, rozłożył na kontuarze gazetę i wysypał z torby ryby.

– Rozalio, wybierz sobie szabasową – rzekł z wielkodusznością szczodrego ofiarodawcy, któremu zależy na radości obdarowanego. Staruszka, która przyczłapała właśnie z kuchni, niosąc tacę z filiżankami, odstawiła ją na kontuar i zaczęła obmacywać jedną rybę po drugiej. W końcu się zdecydowała.

– Akurat najmniejszą? – zawołał rybak, a staruszka na taką wspaniałomyślność odpowiedziała krótkim, gorącym spojrzeniem.

– Tono, i ty sobie wybierz szabasową rybę, skoro już masz rządzić tym żydowskim królestwem. Niech i twoja baba ma uciechę.

Brtko nie dał się prosić. Staruszka uprzejmymi gestami wskazywała filiżanki:

– Pijcie, chłopcy, bo wystygnie – powiedziała familiarnie.

Na stojąco – Lautmanowa za kontuarem, a oni z drugiej strony lady – siorbali pomału z filiżanek, smakując ciepły napój. Rybak spod oka obserwował staruszkę. Widać uznał tę chwilę za najodpowiedniejszą, bo dopił herbatę dwoma łykami, odstawił ze stukiem filiżankę, otarł ręką usta i z radosną skwapliwością, niby jarmarczny wywoływacz, wykrzyknął:

– Słuchaj, Rozalio, nie mogło się stać lepiej...

Staruszka spoglądała na przyjaciela, oznajmiającego jej dobrą

nowinę, takim wzrokiem, jakby z góry wiedziała, o czym będzie mowa.

– No więc, Rozalio, to jest ten pan, tak, tak, ten dobry, chętny człowiek, jak się dobrze domyśliłaś, ten uczynny człowiek, o którym mówiliśmy. Zgodził się pomagać ci w sklepie. Będziesz miała wyrękę, miesiąc, dwa, jak długo zechcesz, Rozalio... możesz się nie obawiać...

Rybak złapał filiżankę i przytknął do ust, jakby chciał ją wylizać, i sponad tej porcelanowej, skrywającej nos osłony obserwował twarz staruszki, rozpromienioną szczerą wdzięcznością. Modlitewnie skrzyżowała na piersi ręce.

– Ja wiedziałam, Imro, że ty jesteś dobry chłopak... Zawsze taki byłeś... Co bym się miała nie przyznać? Jestem stara, potrzebuję pomocy... Niech ciebie Bóg błogosławi...

Wzdrygnęła się lekko, jakby nagle przeniknął ją chłód, poprawiła chustkę na ramionach i szurając nogami, wyszła zza kontuaru. Przygarbiona, stanęła przed dwoma mężczyznami, którzy pragnęli jej dobra. Wsunęła jedną nogę w wysoki buciku zapinany na sprzączkę, niezdecydowana, któremu z nich najpierw podziękować.

– Człowiek nigdy nie jest taki samotny, jak mu się czasem wydaje... – powiedziała ze wzruszeniem. A potem rzeczowo spytała: – Jak młody pan ma na imię?

– Tono! – zakrzyczał Kucharsky. – Cioteczny brat Lili.

Staruszka przechyliła na bok głowę.

– Aha – powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało, a jej wilgotne oczy zamrugały błogo. Z serdecznym zainteresowaniem przyjrzała się swojemu przyszłemu subiekтови. Potem przysunęła się do niego i drżącymi rękoma wyszukała jego palce.

– Będiesz dla mnie jak syn – szepnęła i pogłaskała zdrętwiałego Tona.

– Ojej, Rozalio, o mało nie zapomniałem, że przyniosłem ci ocet! – wykrzyknął rybak, wyjmując z torby butelkę.

W sobotę przytrafiło się Brtkowi coś nieoczekiwanego. Został subiektem Lautmanowej, nim zdążył wyrazić na to zgodę, sprzeciwić się albo chociaż zadać sobie pytanie, dlaczego właściwie z taką uwagą słucha bajdurzenia gadatliwej staruchy.

Wyruszył do sklepu bardzo rano. Z podwórek wychodziły krowy, potulnie stawały przed domami i unosiły łby, nasłuchując dźwięków trąby pastucha. Dobiegały zza rogu i spędzały resztki nocy z oczu rozespanych gospodarzy. Pojawiali się przed chałupami w trykotowych podkoszulkach i w kapciach wsuniętych na bosc nogi, prosto z łóżka, i wyganiali bydło na ulicę. Słońce przypiekało od samego rana.

Brtko przystanął przed mleczarnią. Chwilę się przyglądał, jak dwaj ludzie z majątku ustawiają na chodniku bańki z mlekiem. Nie spieszyło mu się, a najgorsze miał już za sobą.

Wczoraj Brtko ulotnił się ze sklepu zaraz po odejściu rybaka. Zapomniał nawet zabrać otrzymaną w prezencie rybę, owiniętą w gazetę została na kontuarze. Staruszka zrobiła mu kawę, w przypiływie hojności chciała go częstować wszystkim, co miała. Powiedział, że idzie się przebrać, i już się tam nie pokazał. Nie odważył się jednak wrócić do domu ani wałęsać się po ulicach w świątecznym garniturze, w kapeluszu z wielkim, niemal kardynalskim rondem i w krawacie, głupio by to wyglądało. W gospodzie też by zwracał uwagę. Co by powiedział ludziom, gdyby zaczęli wypytywać, dlaczego tak się wyelegantował? Pokpiwaliby z niego, a on by tego nie ścierpiał. Jego postępek mogą pochwalić tylko ci, którzy sami maczają w takich sprawach palce.

Poszedł więc nad rzekę. Tutaj, ukryty w krzakach, mógł rozkoszować się urokiem samotności i wmawiać sobie, że nic złego się

nie stało...

Zdjął buty, zrzucił z siebie to przeklęte odświętne ubranie i tylko w kałesonach wszedł do wody. Potem spał i miał głupie sny. Kilkakrotnie przepłynął rzekę i czuł się naprawdę odświeżony. Znikł niesmak wywołany spotkaniem ze staruszką w zatęchłym sklepie, nie łamał już sobie głowy, co będzie jutro.

Ocknął się, gdy rzekę pokrył cień, i usiadł ogarnięty niezrozumiałym, przyjemnym podnieceniem. Spiesznie, jakby na czyjś rozkaz, wyjął z kieszeni marynarki dekret i zaczął czytać. Potem położył go na ziemi i przycisnął kamieniem. Wyobraził sobie nad sklepem szyld ze swoim nazwiskiem. Chwycił patyk i nakreślił na piasku prostokąt. Całkiem nieźle mu wyszedł. Może dlatego, że czuł się taki wypoczęty, zakiełkowała w nim szalona nadzieja, że mimo wszystko uda mu się wyciągnąć zyski ze sklepu.

W domu, gdy zanurzył nogi w parującej miednicy z gorącą wodą, rozgadał się:

– Powiadam ci, Ewelinko, taki sklep to nie żadne chichy-śmichy... Stara Lautmanowa, nie mogę narzekać, „Mir ist schon ein, zwei – powiada – kto mnie aryzuje, Piotr czy Paweł...”. Że niby wszystko jej jedno. Dopóki się nie wciągnę, będzie mi pomagać. Znaczy się za czeladnika będzie... Wiesz, co sobie wykombinowałem, Ewelinko?

– No powiedz, powiedz!

– Mnie się zdaje, że ze sklepem to jest tak, jak z krową. Krowa potrzebuje siana, a sklep pieniędzy. Włożysz w sklep pieniądze, to złoto z niego popłynie jak mleko z dojrzałej krowy.

– Ale kiedy, kiedy?

– Może już za tydzień. Co ja gadam, może już jutro, a może

dopiero za miesiąc. Popatrz na mnie – rzekł z naleganiem. Rozłożył ręce, wykrzywił twarz w żałośliwym grymasie i naśladowując głuchą staruszkę, powiedział przez nos: – „Panie Brtko, ja już jestem stara. Ja już dawno czekam na aryzatora”. Widziałaś coś podobnego, jej wszystko jedno, kto to będzie, czart czy diabeł...

– Dała ci klucze od sklepu?

– Klucze? Klucze da mi jutro. Jutro odda mi też kasę, gotówkę i towar. „Wszystko panu oddam, wszyściuchno, panie aryzator”, powiedziała. Jak Boga kocham.

Zegar na wieży wskazywał siódmą. Z rynku dobiegał stuk młotków – stolarze pracowali już na trzeciej kondygnacji olbrzymiego ostrosłupa. Brtko sunął pod ścianami. Dzisiaj miał na sobie pumpy, z których wystawały mu gołe łydki, i kusą marynarkę w niebieskawe prążki. W tym niemodnym stroju, do którego niegdyś noszono słomkowy kapelusz, gdy tak szedł powolnym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony, sprawiał wrażenie turysty, który wstał wcześniej, by od samego rana obserwować życie obcego miasteczka.

Przed sklepem Rozalii Lautmanowej stanął jak wryty. Patrzył ogłupiałym wzrokiem człowieka z nagłą czymś zaskoczonego.

Żaluzja była opuszczona.

Rozalia Lautmanowa, zamknięta w swej głuchocie jak w wieży z kości słoniowej, siedziała przy stole, w wybornym nastroju po dobrze przespanej nocy, i jadła śniadanie. Była sobota, a w szabas z niczym nie należy się spieszyć. Nie wolno profanować dnia wypoczynku danego ludziom z woli Najwyższego. Wydało jej się, że kuchnia już dawno nie tonęła w takich potokach słońca. Nawet haftowany lauferek nad ławką tchnął odświętnością. Pod słowami: „Ja cię pokocham, ty mnie pokochasz” – widniały niewyblakłe dotychczas postaci kominiarza i uśmiechniętej dziewczyny. To i owo można by tu zmienić. Na przykład

można by rozebrać trzyczęściowy kredens i tę węższą szafkę ustawić w pobliżu spiżarki, zasłonić umywalkę z porcelanową miednicą i porcelanowym dzbankiem. A ile już razy postanawiała, że żardinierkę z kaktusami przesunie bliżej okna...

Raczej z nawyku niż z pobożności zostawiła na przykrytym białym obrusem stole trójramienny świecznik. Płomienia szabasowych świec nie wolno gasić, świece dopalają się same, a wosk, który skapał na świecznik, ścina się w zygzakowaty wąski pasek, gdzieniegdzie roztopiony westchnieniami, których samotny człowiek nie może powstrzymać.

W papuciach z pomponami z włóczki, w białym czepku i – przecież była sama, nie mogła wywołać niczyjego zgorszenia – w długiej nocnej koszuli Rozalia Lautmanowa kończyła śniadanie i wcale nie słyszała, że ktoś puka. Ale gdy drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich ostrzyżona na jeża głowa Brtka, spostrzegła to natychmiast. Narzuciła na siebie stary kwiecisty szlafrok i zawołała z ożywieniem:

– Wejdz, wejdz, nie krępuj się.

Brtko nie dał się prosić. Chwała Bogu, wszystko w porządku. Stał na ulicy, chodził tam i z powrotem, czekając, kiedy staruszka otworzy sklep, podniesie żaluzję i wpuści go do środka. W końcu stracił cierpliwość i zdecydował się wejść przez podwórko do mieszkania. Ale to wcale nie było takie proste. Uświadomił sobie, czym mogłoby się to skończyć, gdyby czyjeś złośliwe oczy wyśledziły, że wchodzi do Żydówki. Takie kontakty były zabronione. Jednak wskazówki zegara na wieży nie stały w miejscu, trzeba było coś przedsięwziąć.

– Dzień dobry – powiedział wesoło, gdy stwierdził, że wszystko w porządku, i pociągnął nosem. Powietrze wydało mu się ciężkie i zatęchłe.

– Pospałam sobie trochę dłużej, przecież dzisiaj szabas... człowiek

przynajmniej raz na tydzień nie musi się spieszyć. Co bym się spieszyła? Ajaj, naprawdę się raduję, że przyszedłeś. Co porabia Lili?

– Musimy otworzyć sklep. Dzisiaj może być duży utarg. Przyjechało kupa luda ze wsi. – Gestami pokazał, o co mu chodzi. Zrobił to z wielką zapalczywością.

– Tak, tak, rozumiem – powiedziała – ajaj, dawniej ja też potrzebowałam nastawiać budzik. Ale teraz, na stare lata? Teraz to ja wstaję, jak tylko ptaki zaczną ćwierkać pod oknem. No, siadaj, siadaj.

– Ty akurat słyszysz ćwierkanie ptaków – mruknął Brtko, a głośno, jak tylko mógł najgłośniej, powtarzał swoje: – Musimy otworzyć sklep. Geszeft! – krzyczał. – Klucz! Zamek! Podnieść żaluzję!

– Sklep? Otworzyć sklep? Przecież jest szabas. Jak tyle lat żyję, nie otworzyłam sklepu w sobotę – obruszyła się staruszka. A po krótkim milczeniu powiedziała: – Ty mi tylko nie zaprzeczaj, ja wiem, że jeszcze nie jadłeś śniadania.

Podawała Brtkowi talerz z kawałkiem chały i herbatę.

– Została mi wczorajsza ryba, nie chcesz ryby? – Wstała, nim zdążył cokolwiek powiedzieć, i poczłapała do spiżarni, wlokąc za sobą ogon koszuli wyglądającej spod szlafroka i szurając rozdeptanymi papuciami.

Brtko nie zauważył schodka. Noga trafiła w próżnię, zatoczył się, zrobił wymach ramionami, niewiele brakowało, by upadł.

– Niech to szlag trafi! – zaklął i zapalił zapałkę, bo ciemność w korytarzyku łączącym kuchnię ze sklepem gęstniała coraz bardziej. Miał uczucie, jakby się znalazł w zapleśniałej piwnicy; stara powiedziała, że zaraz przyjdzie. Brtko uznał to za ustępstwo z jej strony i miał nadzieję, że na tym się nie skończy.

– No, już jestem – odezwał się wesoły głos staruszki i w głębi wąskiego korytarzyka zadreptały jej kroczi. – Ja ci zaraz wszystko pokażę, wszystko wytłumaczę, wszyściuchno – ciągnęła rozradowanym głosem, jak gdyby spotkało ją coś nader przyjemnego. Wetknęła Brtkowi w rękę świeczki i wzięła się do roboty.

– Tu mi poświęć, jeśli łaska. Trochę wyżej!

Brtko milczał, jak przystało subiekтови. Stara zdejmowała z regałów pudełka – płaskie, podłużne, duże, małe – i ustawiała je na kontuarze. Temu wyczarowywaniu pudełek z przepastnych regałów towarzyszył wykład:

– Na przykład tutaj mamy guziki. Ty widzisz tę ilość? A te sorty? Perłowe, kościane, niciane, wszystkie kolory i wielkości. Weźmy na przykład te perłowe – ogarnięta kupiecką gorączką Lautmanowa zalewała Brtka potokiem słów – ty uważaj na cenę. Komplet perłówek, to znaczy tuzin, kosztuje koronę czterdzieści. – Odwróciła kartonowe pudełko i zsunęła na oczy okulary z czoła, aby sprawdzić, czy się przypadkiem nie omyliła. – Tak, dobrze mówię, koronę czterdzieści. Sąsiadom i stałym kundmanom, na przykład Pilcerowej, Hauptmanowej, Goliaszowej, możesz oddać po cenie *angros*... One często kupują, rozumiesz? Ty możesz opuścić na koronę dwadzieścia, ale za mniej niż koronę żebyś nie oddawał. To się musisz ze mną naradzić.

Układała pudełka z powrotem na półkach.

– Handel to nie są żadne czary. Czekaj, co się tak spieszysz, ajaj, na wszystko przyjdzie kolej – obruszyła się, gdy Brtko w nadmiarze gorliwości wysypał na ladę zawartość jednego z pudełek. Zmieszany począł zgarniać guziki z powrotem do pudełka. Szkoda słów. Powinien by raczej wziąć kija i przegnać ją stąd, siłą wbić jej do głowy, że nie ma tu już nic do roboty ani do wyjaśniania. Tylko że guziki to nie deski, a wstążki nie trociny. Gdyby miał w ręku hebel i piłę, dałby sobie radę

bez starej, bez Eweliny, bez Markusa, nikt nie byłby mu potrzebny. Uniósł świecę, wydobywając z mroku swą twarz z wyrazem bezsilności i machnął ręką.

– Tutaj mamy koronki – podjęła staruszka, otwierając duże pudło.
– Bardzo niepewny artikel. Wchodzi w modę, wychodzi z mody, z takim artiklem to ty możesz pójść w bankrut, nawet nie wiesz kiedy. Żebyś ja tyle pieniędzy miała, co ja miałam kłopotów z koronkami. Taka koronka zaczepi ci się o paznokcie i fertig. Z tym trzeba delikatnie, w jarmark ja stanę przy koronkach, ty będziesz z tyłu przy guzikach... Mierzyć koronki to bardzo łatwe zajęcie, ale to trzeba umieć.

Brtko wyciągnął z kieszeni całówkę.

– Nie, nie – powiedziała – na to mamy inny wercajg. – Zdjęła z regału drewniany metr i pouczyła go: – Mój biedny Heinrich bardzo dbał o porządek. Wszystko musi mieć swoje miejsce. Nożycy wiszą na ten gwóźdź już czterdzieści lat.

Pokazała mu, jak się mierzy koronki, a jak wstążki. Kiedy wyczerpana umilkła na chwilę, Brtko skorzystał z okazji.

– Pani Lautmanowa – wrzasnął – może byśmy jednak otwarli sklep?

– Co ci wpada do głowy, synu, powiedziałam ci przecież, że u nas w sobotę nigdy się nie otwierało.

Po tonącym w ciemnościach sklepie rozświetlony słońcem pokój wydał mu się całkiem przyjemny, choć przypominał raczej skład starzyzny niż sypialnię. Niezbyt wielkie pomieszczenie zatłoczone było meblami. Między ogromnym małżeńskim łóżem a toaletką z owalnym lustrem ledwo można było przejść.

Rozalia Lautmanowa, stojąc przy drzwiach, z uwagą i skupieniem

obserwowała poczynania stolarza. Brtko był w swoim żywiole, zapomniał o bożym świecie. Zgięty wpół obmacał toaletkę, odkrył kiwającą się, rozszczepioną nogę.

– Któregoś dnia w przyszłym tygodniu przyniosę narzędzia – powiedział, odwracając się do staruszki.

Lautmanowa uśmiechnęła się z zadowoleniem, a Brtko zaczął oglądać szafkę nocną. Klęczał przed nią jak przed ołtarzem.

– Trzeba ją wypolituować! – krzyknął, naśladując wymachiwanie pędzlem. Ledwie dotknął spiralnej ozdóbki z liśćmi wawrzynu, została mu w ręce.

Stara nic nie spostrzegła.

– Mój nieboszczyk Heinrich uznawał tylko swoje łóżko. Jak czasem musiał spać w cudzym łóżku, to był ausersich. Przyzwyczajenie – załkała – przyzwyczajenie.

– Za tydzień będzie pani miała wszystko jak nowe – powiedział Brtko.

Nie dosłyszała, co mówi, wyczuła jednak jego dobre chęci. Była zadowolona ze swojego pomocnika. Okazał niezwykle zainteresowanie dla jej spraw. Brtko pstryknął palcem w koralikowe frędzle staromodnej lampy, która zwisała z sufitu niby otwarty różowy parasol.

– Bardzo cenna rzecz – powiedział z uznaniem i oboje się uśmiechnęli, a nad nimi rozdzwiewały się rozkołysane koralikowe frędzle.

Przyszła jej do głowy pewna myśl, płynąca z dobroci serca.

– Ja nie jestem bogaczka – powiedziała – ale znajdzie się co nieco

po Heinrichu. – Uklękła przed otwartą szafą i wygrzebała z niej cały stos starzyzny. Koszule i kalesony, stare ubranie, twarde kołnierzyki, kawałki materiałów, które zapewne miały jakieś przeznaczenie, ale sama już zapomniała jakie – i prawie zupełnie nowe lakierki. Podała mu zwinięty parasol, melonik podniósł z podłogi sam, włożył na głowę i przejrzał się w lustrze.

Kapłan w ornacie zszedł po stopniach ołtarza i skierował się do zakrystii, za nim ruszyli ministranci, a Ewelina Brtkowa przybrała minę zwycięskiej księżny. Spuściła oczy i zesnurowała usta, jakby w oczekiwaniu hołdów sprawiających człowiekowi rozkosz i unoszących go aż pod niebo. Czuła, była pewna, że ta wspaniała chwila już się zbliża, że zaraz nastąpi. Gdy tylko ucichną dźwięki organów, gdy się rozwieje dym kadzidła, ludzie zaczną opuszczać kościół. Będą wychodzić pojedynczo i grupami, na ulicy wdadzą się w pogawędki; będą mówić o modzie, o zaopatrzeniu i o wojnie, ale przede wszystkim – i to właśnie napawało Ewelinę rozkoszą – będą mówić o niej. O tym, że kiedyś, wcale nie tak dawno, przez nikogo niezauważana, siadywała z mężem w półmroku bocznej kaplicy. A dziś? Dziś zasiadła wśród elity miasta, obok swego szwagra, miejscowego komendanta Gwardii Hlinki, ramię w ramię ze starostą, komendantem żandarmerii i dyrektorem banku. O takim zaszczycie mogła dotychczas jedynie marzyć. A to pociągnie za sobą dalsze zaszczyty, nieokreśloną jeszcze, lecz niesłychanie nęcącą pozycję w hierarchii społecznej.

Rozfalowane dźwięki cichnących organów wypłynęły aż na ulicę i zmobilizowały żebraka siedzącego na chodniku przed kościołem. Poprawił umieszczony między kolanami wyrudziały, odwrócony do góry dnem kapelusz, wysunął czubek języka i przyłożył do spierzchniętych warg drewnianą piszczałkę. Długie włosy spływały mu po obu stronach ziemistej twarzy aż na ramiona. Gdy się lekko na moment podźwignął, by znów usiąść ze skrzyżowanymi nogami, tuż pod szyją błysnął mu żelazny krzyż. Zaczął wygrywać ckliwą melodię, natrętnie wdzierając się w uszy. Gdyby szrapnel nie wyłupił mu oczu, ze swojego miejsca pod murem kościoła mógłby widzieć mnóstwo nóg, zastępy nóg defilujących mu nad głową. Ostre dźwięki piszczałki zawodziły żałośliwie nad odświętnie wystrojonym tłumem.

Ewelina była w siódmym niebie, co krok bowiem spotykała się z przejawami głębokiego szacunku. Była pewna, że ukłony przechodniów adresowane są nie tylko do jej siostry. Uwieszona ramienia Rużeny Kolkockiej uśmiechała się promiennie, chwilami, gdy odsłaniała zęby, trochę drapieżnie, to znów z wdziękiem, gdy powracająca fala szczęścia żłobiła jej w policzkach dwa urocze dołeczki. Uwierzyła, że sama sobie zawdzięcza osiągnięcie tego uczucia błogostanu. Pod suknią z przejrzystego materiału rysowały się jej ponętne kształty, suknia falowała wokół masywnych łydek. Białą torebkę trzymała niedbale pod pachą, a palcami lewej ręki, chociaż było bezwietrznie, ustawicznie dotykała runda słomkowego kapelusza, jak to robiła małżonka dyrektora banku. Ochoczo, choć nieco z wysoka, okazywała szczerą życzliwość wszystkim, którzy odnosili się do niej inaczej niż dotychczas. Szły powoli wzdłuż straganów na rynku, wśród tłumu promenującego w dwóch przeciwnych kierunkach. Ewelina obejrzała się, czy mężowie idą za nimi. Szli krok w krok, jak to jest w zwyczaju u spokrewnionych rodzin. Markus Kolkocky w eleganckim mundurze i butach z błyszczącymi cholewami, a obok niego bardziej niepozorny i trochę osobliwie ubrany Antoni Brtko. Wachlował się zdjętym z głowy dęciakiem, bo w kamizelce i sztywnym kołnierzyku pocił się okropnie. Dręczył go problem, czy witać spotkanych znajomych podniesieniem prawicy, jak szwagier Markus, czy po cywilnemu, uchyleniem kapelusza. Całe szczęście, że mógł się wykazać przed żoną takim bogactwem. Pal diabli, że lakierki cisną, aż mu się słabo robi. Grunt, że są nowe. Rozalia Lautmanowa zapewniła go pod słowem honoru, że nieboszczyk Heinrich tylko raz miał je na nogach, a przy tym nie ruszył się tego dnia z domu, bo czuł się nieswój. Biedak, kupił je sobie do trumny, ale jej szkoda było zakopywać nowe lakierki w czarnej ziemi razem z nieboszczykiem. Zresztą byłoby to niezgodne ze zwyczajem. Co jest martwe, niechaj będzie i nagie – a równie dobrze można to odwrócić. Brtko zmilczał o tym wszystkim przed Eweliną. Przytaskał wczoraj wieczorem teczkę wypchaną prawie nową odzieżą, parasol i omotane sznurkiem kartonowe pudełko. Nawet Ewelinie odjęło mowę, gdy ujrzała te trofea, a zwłaszcza gdy Brtko wyjął słomkowy damski kapelusz w doskonałym stanie

i pantofle na wysokich obcasach. Teraz pomachała mu radośnie ręką, a odwróciwszy się do siostry, zapytała:

– Widzisz, jaki z mojego Tonika zrobił się elegant?

– To dopiero początek, złotko, zobaczysz, jak się dorobicie.

– Mówisz serio? – spytała Ewelina z twarzą zwróconą ku wystawie, w której majaczyło odbicie jej sylwetki. Także Rużena skorzystała z okazji i poprawiła sobie kapelusik. Niemal jednocześnie spostrzegły dyrektora banku Hrenka. Dźwigając przed sobą okazały brzuszek, kroczył w towarzystwie dziecięcia i wysztafirowanej małżonki w fałdzistej pelerynie.

– Coś strasznego – rzuciła półgębkiem Rużena, pan dyrektor zamiótł kapeluszem w głębokim ukłonie, a panie uśmiechnęły się do siebie.

– Wygląda jak żona nocnego stóza – prychnęła Ewelina.

– Cii – syknęła Rużena.

Przy aptece skręciły w kierunku korsa. Dzwony biły w rytm ich kroków. Przechodziły wśród ludzi jak tryumfalnym szpalerem.

Zebrało się tu pół miasta. Barwne suknie, sporo cytrynowego i seledynowego, ale przeważały kolory różowy i żółty, kobiety pulchne nad szczupłymi, ekstrawaganckie kreacje nad skromnymi sukienkami. Nie brakło też strojów ludowych, lecz najwięcej było wszelkiego rodzaju mundurów, od wojskowych począwszy, a na strażackich skończywszy. Siostry szły wśród tej feerii barw z grandezzą wielkich dam, zmierzając w stronę orkiestry.

U podnóża skrytego jeszcze w oszalowaniu ostrosłupa orkiestra strażacka przygotowywała się do promenadowego koncertu. Wąsaty

dyrygent, sam pan Balko, na co dzień kowal, przerzucał nuty na pulpicie. Okulary w kościanej oprawie zsunęły mu się na czubek nosa. Nawet nie musiał się oglądać, wiedział, że wokół cisną się ciekawscy, niecierpliwcy i sympatycy. Przy takiej pięknej pogodzie publiczność jest spragniona muzyki. Wyciska z dyrygenta ostatnie poty. I nie tylko z dyrygenta, z bębniasty też. Ba, ale okrągłutki wujcio Piti w furazerce na głowie ma lepszą zaprawę, bo jest nie tylko bębniastą w orkiestrze, lecz także magistrackim woźnym i obębnia po mieście urzędowe obwieszczania. Publiczność potrafi zmusić do nadzwyczajnych wyczynów nawet chuderlawego czyneliste Imricha, który z zawodu jest kapelusznikiem, a grając na czynelach, uprawia nie tylko muzykę, jak mówi, lecz także sport. Dobry dyrygent potrafi zdziałać cuda nawet z mizerną kapelą. Oczywiście, nie jest to łatwe, gdy się zważy, że większość mosiężnych instrumentów osiągnęła wiek matuzalemowy. Toteż nie można się dziwić, że trąbka od czasu do czasu starczo zachrypi, że klarnet jęknie znużonym głosem, ale dyrygent, choć z góry na coś takiego przygotowany, za każdym razem podskakuje nerwowo, bo kiksy sprawiają mu taki sam ból, jak uderzenie młotem w palce zamiast w kowadło. Spojrzeniem rzucanym zza okularów pilnował zgodności ruchów z dźwiękami, to nakazał większą uwagę puzoniście, to dał znak czyneliście, aby uderzył w talerze, trzymał w ryzach cały zespół. Zadaniem koncertów promenadowych jest uszlachetnianie ducha, nie da się jednak zaprzeczyć, że ponadto zbawiennie oddziałują na soki żołądkowe. Rażny marsz skłania je do żywszego krążenia i dokładnego strawienia wszystkiego w brzuchu przed niedzielnym obiadem. Ludzie powiadają – i z pewnością jest w tym ziarnko prawdy – że gdy kapela Balka zaczyna grać, nawet mnichom rozjaśniają się twarze swawolnym uśmiechem, dewotkom w czarnych kapeluszach wypadają różańce z rąk, a najgorsi zupacy z miejscowego pułku dragonów wyglądają jak świeżo wykąpane niemowlęta. A co dopiero, gdy zabrzmie melodia ulubionej piosenki:

Kiedy żeś mi, moja miła,

przy kapliczce buzi dała, ju-ha-haaa.

Tą melodią Balko podrywa, jak się to mówi, na nogi całe korso. Ludzie zapominają o dostojności i dobrym wychowaniu. W tym właśnie rzecz: zagrać właściwą piosenkę we właściwej chwili. Taka piosenka to jakby marszowy pean albo dziarska modlitwa na cześć pięknego letniego dnia. Batuta Balka przemienia się w czarodziejską laseczkę, przestaje być batutą i szczęście zdaje się osiągać pełnię. Przynajmniej tutaj na ziemi. Bo tam wysoko, na ziejącym pustką oszalowaniu gigantycznego ostrosłupa, wszystko znika. Gdy człowiek zwróci wzrok ku tym wyżynom, gdzie na błękitnym tle nieba przepływają białe obłoczki, doznaje zawrotu głowy. I ma wrażenie, że to nie chmurki wędrują, lecz czubek ostrosłupa. Ale to złudzenie, omam wywołany przepalanką.

Z knajpki na rynku jest widok na niedzielne korso jak z teatralnej łoży. Drzwi otwarte są na oścież. Z zewnątrz wdziera się gwar. Markus Kolkocky stanął w progu i zwrócił się do Brtka:

– Wiesz co – chwycił go pod rękę – dogonimy najpierw kobiety, dobrze? – Uniósł się na palce, przysłonił dłonią oczy i rozejrzał się po tłumie. Potem ruszyli przed siebie i Kolkocky podjął przerwana perorę: – No więc żeby skończyć. Co się tyczy tego, coś powiedział o naszym ministrze, kiedy był tutaj i niosłem go na ramionach podczas tej uroczystości, to on mi potem powiedział: „Kolkocky, zuch z ciebie, ale zapamiętaj sobie, że mogłeś już zajść dalej i wyżej, no, zajdziesz wyżej, masz na to moją rękę!”. – Kolkocky wyciągnął dłoń, naśladując zamaszysty gest ministra. Nie zwracając uwagi na przygnębienie malujące się na twarzy Brtka, ciągnął: – „Przede wszystkim” – powiedział – „zrobisz porządek w swojej rodzinie”. To o ciebie chodziło. „Zdrajca pod własnym dachem” – powiedział – „to najgorsze ze wszystkiego, wsadzi ci nóż w plecy ani się spodziewasz kiedy”. A potem pan minister powiedział: „I ma być porządek w tym mieście”. A ja mu na to: „Będzie porządek, panie ministrze”!

– Jak ty weźmiesz to w swoje ręce, na pewno będzie porządek –

bąknął Brtko.

– „*Kostwaskost*^[4], na rynku ma stanąć pomnik zwycięstwa”. A ja mu na to: „*Kostwaskost*, panie ministrze, na rynku stanie pomnik, w kształcie ostrosłupa. Wszystko tu gruntownie przefasonuję”.

– Chodzą słuchy, że zamierzasz zburzyć stary spichlerz...

– Stary spichlerz zrównam z ziemią. Remizę strażacką wysadzę w powietrze, na tym miejscu stanie posąg z... wodotryskiem. Potopię wrogów jak szczenięta.

– Mówią, że będziesz potrzebował ludzi.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Ty musisz o tym wiedzieć, Markus.

– O czym muszę wiedzieć?

– O wszystkim.

– No pewnie... Myślisz, że nie mam oczu? Jeśli się w porę nie opamiętasz, też się wkopiesz. Rozumiesz?

– Nie rozumiem. Ja? Dlaczego ja? – wymamrotał Brtko. Zbliżyli się akurat do sklepu Rozalii Lautmanowej. Może ktoś go wczoraj widział, gdy wynosił stamtąd kartonowe pudło omotane sznurkiem i wypchaną teczkę. Ludzie są zawistni. – Dlaczego mi to mówisz?

– Dlatego! – zagrzmiął Kolkocky, stając w rozkroku i wskazując wyciągniętym palcem szyld nad sklepem Rozalii Lautmanowej.

Brtko trochę bezradnie, jak dziecko, które nie może pojąć sensu tego, co usłyszało, wetknął palec w usta. W takt różnych dźwięków

orkiestry strażackiej Kolkocky skandował z pogrózką w głosie:

– Dałem ci żydowski sklep. W najlepszym punkcie miasta, przy pryncypalnej ulicy, można powiedzieć – kopalnia złota. A ty co?

– Ja? – zawołał struchlały Brtko.

– A kto? Ty! Zachowujesz się jak szabesgoj! Zapamiętaj sobie: szabesgoj jest gorszy od prawdziwego Żyda, bo nie będąc Żydem, wysługuje się Żydowi. Do końca tygodnia, rozumiesz, masz wyrzucić ten żydowski szyld, a zawiesić swój: Antoni Brtko, dodatki krawieckie – zrozumiałeś?

Magistrackiego woźnego wszyscy w mieście nazywają wujciem Piti albo po prostu wujciem. Może dlatego, że jest dobroduszny i gadatliwy. Niepozornej postaci, zadziwia tylko wydatnym, beczułkowatym brzuszkiem. Obnosi go dumnie niby szacowne insygnium swojego urzędu. Wszyscy wiedzą, że usłyszą coś przyjemnego, gdy wujcio Piti zaczyna bębnić:

– Podaje się do ogólnej wiadomości...

Wprawdzie przeczytać urzędowe obwieszczenie potrafiłyby byle dudek, ale zrobić to tak, aby urzędowa czynność stała się występem, ściągającym szacownych mieszczan i przekupni, dzieci i starców, ba, nawet psy, konie i gołębie – to już graniczy ze sztuką; warte jest tego, by człowiek rzucił pracę i pobiegł posłuchać. Obowiązek można zbyć, ale dla wujcia Piti – wszyscy to wiedzą – obębnianie jest obrzędem, niczym niedzielny występ w teatrze amatorskim dla aktora, który zadał sobie trud, aby nauczyć się na pamięć roli i uzupełnić ją siłą własnej wyobraźni.

Toteż ludzie, usłyszawszy dźwięki bębna, machnęli ręką na jarmark i zgromadzili się wokół woźnego. Gdziekolwiek byli, u piernikarzy, u szewców czy garncarzy, wybiegali z urządzonych w namiotach kramów i spieszyli na korso pod olbrzymią bryłę skrytego w oszalowaniu pomnika wysłuchać obwieszczenia. Myli się ten, kto myśli, że bębnienie polega na waleniu pałeczkami w oślą skórę. Dźwięk bębna może brzmieć jak szept wietrzyka, jak szelest liści, jak uderzenia kropel deszczu o szyby, ale może także rozbrzmiewać jak wołanie na alarm. Może być delikatny albo agresywny, ale musi – i to obowiązuje bębniście niczym przepis prawny – wybić się ponad wszystkie inne dźwięki. Nie jest łatwo zagłuszyć jarmarczny zgiełk, hałas trąbek, grzechotek, rzenie koni, gęgot gęsi, krzyki chłopców

i trajkotanie kobiet, odwieczne dźwięki spływające w jednolitą targową wrzawę. A poza tym – przeczytać a obwieścić to dwie różne rzeczy. Obwieścić, to znaczy wczuć się nie tylko w tekst tego, co się czyta, ale także w dusze słuchających. Żadne urzędowe pismo na świecie nie jest tak święte, aby nie można go było przyprawić kpina. Dlatego ludzie tak chętnie słuchają wujcia Piti. Jedyne on potrafi odpowiednio zabarwić nawet poważne słowa. Ciągnąć samogłoski niczym ciasto na lane kluski, zakończyć śpiewnie wypowiedane zdanie nagłym zawieszeniem głosu, przypominającym brzęk rozerwanego łańcucha. To nie lada sztuka: tak czytać rozporządzenie, by wzbudzić dla niego respekt, a zarazem jakby je zbagatelizować. Jedyne wówczas urzędowa czynność może przekształcić się w swego rodzaju rozrywkę towarzyską.

Toteż i teraz zebrała się ciżba ludzi. Woźny w urzędowej czapce z daszkiem zatknął pałeczki w miedziane pierścienie u skórzanego pasa, ceremonialnie wyjął zza mankietu służbowej kurtki złożony papier, odchrząknął i wyrecytował jednym tchem:

– Oto urzędowe rozporządzenie które się podaje do ogólnej wiadomości wszystkich właścicieli psów wilczurów owczarków bernardynów mopsów chartów oraz wszelkiej innej psiej żywioły że mają w terminie dni dziesięciu uiścić urzędową takse właściciel psów który tego obowiązku nie dopełni zostanie ukarany hycel bez uprzedzenia drucianą pętlą za kark go chwyci i do swego rakarskiego wora wpakuje na miejskim ścierwisku za szlachtuzem na koszt miasta ubije. Pieczęć okrągła dokument prawomocny. Koniec ende *na straż bumbubum...*

Nawet konie wyszczerzyły w uśmiechu żółte zęby, nawet gołębie wesoło zatrzepotały skrzydłami, nawet uderzenia siekier na oszalowaniu pomnika zabrzmiały raźniej, gdy wujcio Piti na zakończenie puścił w ruch pałeczki i bęben rozmruczał się drobnym stukotem werbla, delikatnym, odświeżającym niby deszczyk splukujący skwar dnia.

– Gadasz jak ksiądz z ambony – rzekł Brtko, podchodząc

do woźnego.

– Daj Boże dobry dzień.

Wujcio machnął ręką.

– To już nie to, co kiedyś – powiedział – nie te czasy, chłopcze, lada dzień bęben powędruje do muzeum. – Uniósł głowę i wskazał na słup elektryczny:

– Radio mają zaprowadzić, radiem będą ludzi manić. Czekaj, Brtko, gdzie lecisz, ej! Nie wziąłbyś mnie do terminu?

Ludzie zbijali się w grupki i żywo komentowali posłyszane rozporządzenie, po czym w wybornych humorach rozchodzili się we wszystkie strony, nawet bezzębna babina o ptasiej piersi, z ogromnym tobołem na plecach szła rozradowana.

Brtko na oścież otworzył przed nią drzwi sklepu.

– Proszę wejść, proszę, mam bogaty wybór towarów...

Wesoły nastrój jarmarku odgania chmury, rozprasza smutek.

Wieśniaczki mogą do woli grzebać w błyskotkach, broszkach, guzikach i klamrach, nacieszyć oko i serce ich blaskiem i migotaniem, choćby nie kupiły ani za grosz. A któraż oparłaby się chęci postawienia na swoim, zadokumentowania swoich gustów i kaprysów? Targują się zażarcie, do ostatniego tchu. Nie dadzą się przecież ocyganić tym szachrajom handlarzom.

Rozalia Lautmanowa kipiała energią, nic ją nie bolało, na nic się nie skarżyła, bo tę chwilę należało kuć jak drogocenny kruszec, na gorąco, delikatnie i umiejętnie, nie żałując rąk ani serca.

– Dla ciebie, aniele, mam tu coś całkiem ekstra. – Mrugnęła obiecująco do kobieciny przed kontuarem. Schyliwszy się, szukała po omacku pod ladą pudełka, ale spod uniesionych wysoko brwi obserwowała klientkę, ciekawa odpowiedzi.

Brtko powrócił z ulicy jak zwycięski podoficer. Popychał przed sobą, niczym wziętego do niewoli jeńca, pomarszczoną starowinę o ptasiej piersi, która była zbyt zmęczona, aby stawiać opór. Babina zaaferowana była swoimi sprawami, ale półuchem może i słuchała wymownego przewodnika:

– Nas już nie będzie, a guziki zostaną... śmiało, babciu... taką mnogość guzików mamy, że główną ulicę moglibyśmy nimi wybrukować, a jeszcze całą waszą rodzinę razem z wnuczętami wysztafirujemy. Życzycie sobie złote czy raczej oficerskie? Chodźcie za mną... mój rejon jest tutaj, od tyłu...

Zadaniem Brtka bowiem było chwytanie tego, co się prześliznęło przez sito Lautmanowej, jedno drugiemu nie wchodziło w paradę.

– Primasort guziki! Błyszczące guziki! Tanie guziki! – wykrzykiwał za kontuarem Brtko głosem rozochoczonego przekupnia. Zdejmował z regału pudełko po pudełku, palcem odliczał guziki, uderzał jednym o drugi. – To nie jest kość, to metal, prawdziwa stal, proszę, jak dźwięczy. Sto razy was przeżyje...

Rozalia Lautmanowa pomału, jakby podnosiła ogromny ciężar, otwierała pudło z chustkami na głowę. Kupowała tylko jedna kobieta, ale przyszło ich więcej, wypełniły sklep, oglądały, targowały się. Wytworzyły tę cudowną atmosferę napięcia, która sprawia, że słowa płyną z ust nieprzerwanym strumieniem, a ich sile przekonującej trudno się oprzeć. Czujesz, że nie mówisz w próżnię, że wszyscy cię słuchają.

– Oj, co to za piękne chustki, ręcznie haftowane, drogocenny towar – zachwalała Rozalia Lautmanowa swoje skarby. – Wy możecie nogi

uchodzić, taki fajnowny towar dziś nigdzie nie znajdziecie. Czemu nie, spróbujcie, poszukajcie, a potem przyjdźcie mi powiedzieć. Ja poczekam, ja mam czas...

– Ile chce za chustkę? – spytała jedna z kobiet sąsiadki, a ta krzyknęła:

– A jaka cena, Rozalio, ile chcesz za chustkę?

– Ile? Ile? – przyłączyło się więcej głosów.

– Tu jest żółta – ciągnęła Lautmanowa – tu cytrynowa albo może być fioletowa, niebieska, wybór większy jak na bazarze, wszystkie za jedne pieniądze, każda jedna sztuka, każdy jeden kolor trzy korony, ani halerz mniej...

Ostatnie słowa utonęły w podniesionym przez kobiety harmiderze.

Na skutek ciągłego poruszania głową okulary zsunęły się Lautmanowej z czoła na nos. Jakby nie słysząc gwałtownych protestów przeciw cenie, ostentacyjnie uniosła do oczu jedną z chustek, ale daremnie szukała skazy na tym wspaniałym towarze.

– Jakość pierwsza, pierwszy sort – przydała wagi swemu oświadczeniu słowem, które powinno zrobić wrażenie. – Wiecie co, wy spróbujcie znaleźć taki towar gdzie indziej, ajaj, idźcie, ja nie mam wątpliwości, że przyjdziecie z powrotem, albo czekajcie, dlaczego nie obejrzeć z bliska... – Brała jedną chustkę po drugiej i zręcznie rozpościerała je w powietrzu, tak aby zagrały barwami w smugach światła, delektując się przy tym wywołanym podziwem. Bo nie chodzi tylko o to, żeby sprzedać. Sprzedać, to nie znaczy wymienić towar na pieniądze. Sprzedać, to znaczy dowieść samej sobie, że możliwy jest cud powrotu młodości, obrotności sprytniejszego. Sprzedać, to nie znaczy oszukać, sprzedać, to znaczy zarobić i nie zostać oszukanym. Grzechem jest oszukać kogoś, ale czy nie większym grzechem jest

pozwolić się oszukać komuś? – Asortyment pierwszy – powtórzyła Lautmanowa z naciskiem.

– Asatryment czy nie asatryment to jeden diabeł, za dwie korony oddasz? – zaatakowała wrzaskliwie tłusta baba z tobołem na plecach, pokazując dwa palce na znak, ile koron proponuje.

– Hohoho – ściągnęła wargi Lautmanowa. Nie potrzebowała słyszeć, i tak wiedziała, o co chodzi. Wyciągnęła dłoń, jakby w obronie przed atakiem, a drugą ręką przysunęła do siebie pudło z chustkami.

– Za trzy korony dostaniesz lepszą u Rubina – powiedziała inna kobieta, a pozostałe natychmiast ją poparły.

Rozalia tylko się uśmiechała, ale czoło miała sfałdowane, jakby usłyszała wesoły dowcip ze smutną puentą. Wprawdzie dziś głuchota dawała jej się tak samo we znaki jak wczoraj i przedwczoraj, jednak nietrudno było się domyślić, o co kobietom chodzi. Urażona takim poganiem – bo czymże innym było zaproponowanie ceny – zaczęła sprzątać towar z lady.

Również przed Brtkiem tłoczyła się gromada klientek.

– Ja bym chciała ciemne i jeszcze większe! – wołała któraś.

Brtko miał już dosyć wybrzydzenia kupujących. Bezustannie szukał po regałach, wyłożył na kontuar wszystko, co się dało.

– Większe, większe – przedrzeźnił z irytacją klientkę – na co ci większe? Zakop w ziemi, pokrop, podlej, to może urosną.

Rad nierad musiał się zwrócić o pomoc do Rozalii.

– Hej, pani Lautmanowa – zawołał, unosząc wysoko guzik – gaździna chce ciemne i jeszcze większe, mamy takie na składzie?

Nad drzwiami rozdzwięczał się dzwonek. Do sklepu wtoczyły się dwie wieśniaczki, rumianolice, roześmiane, w jasnych chustkach na głowie, jedna z koszem w ręce, druga z gęsią pod pachą, obie w fałdzistych spódnicach. Wniosły ze sobą jazgotliwą wrzawę jarmarku i swoje wesołe powitania.

– Daj Boże dobre południe.

– Daj Boże dobry utarg.

– A bodaj cię diabeł pode pachom żelazną mietlą połechcił! – wrzasnęła jękliwie na odchodnym starucha. Pozostałe kobiety podskakiwały, jakby je podłoga parzyła w boscie stopy, i zadzierały spódnice aż po nagie kolana. Rozalia chichotała rozbawiona. Albowiem Brtko, chcąc wykazać swoją użyteczność, wpadł na pomysł, żeby skropić podłogę. Naczynie, w którym przyniósł wodę, przypominało poodpryskiwany blaszany irygator. Otwór w dnie zatkał palcem, aby zmniejszyć prąd wody, i kreślił na podłodze wielkie ósemki.

– Czym możemy służyć, grzebykiem do pięknych włosów, a może gumką do gaci? – zwrócił się żartobliwie do kobiet, ku ogólnej radości dając spokój kropieniu.

– Nijakiego grzebyka ani gumki nam nie trza, korunke chcemy kupić, kiej by się jaka u was znalazła...

– Czy się znajdzie? Wagon koronek możemy wam sprzedać, kilometry koronek. – Brtko wyciągnął z kieszeni calówkę i machnął nią w powietrzu.

– Widzita go, stulaza, korunke by chciał mentrówką mierzyć! Hej, Rozalio! – zawołała ta z gęsią pod pachą.

Lautmanowa z twarzą przyciśniętą do szyby w drzwiach usiłowała

dojrzyć wskazówki zegara na wieży. Targowy ruch ją zmęczył, a poza tym czuła już głód – była przecież druga po południu. Z zaimprovizowanej konewki, odłożonej na krzesło pod ścianą, skapywał czas, a Brtko powoli, w zadumie przesiewał przez palce monetę po monecie i wrzucał je do zastępującego kasę kartonowego pudełka na kontuarze. Potem, jakby się ocknął, począł je ustawiać w stosiki.

– To się wie, mój synu, kopalnia złota to ten sklep nie jest, ale co potrzebuje stara kobieta? – powiedziała Rozalia Lautmanowa.

Brtko uniósł głowę.

– Usmażę kalafior, ugotuję kartofle. Ty lubisz jajka na twardo?

Brtko, obliczający utarg, kiwał głową.

– Uch, ja ci coś powiem – ciągnęła Lautmanowa – ja dostałam ogromny apetyt na taki miękki, ciepły rogal od Brandla... Aj, jaki to dobry rogal... uhuhu... uhuhu...

Staruszka aż przymknęła z błogości oczy, uniosła nos, jakby zwietrzyła woń świeżego pieczywa, i pohukiwała zapamiętałe niczym sowa przed północą.

Brtko, rozdzieliwszy pieniądze na bilon i na banknoty, nieudolnie zaczął pohukiwać razem ze staruszką:

– Uhuhu, uhuhu... – Miał taką minę, jakby uczestniczył w jej tajemnych rozkoszach.

– Wyobraź sobie – zaszcebiotała Ewelina, wpadając nieoczekiwanie do sklepu – wyobraź sobie, jak ta oszukanica nabrała Rużenę... Poszłyśmy razem na targ, koguta kupiła, a baba zamiast pięćdziesięciu koron reszty dała jej, przecie to niesłychane, zamiast

pięćdziesięciu koron dała jej z setki trzydzieści...

Mówiła z takim przejęciem, że Tono Brtko, chcąc nie chcąc, ujrzał plac targowy, sprytną wieśniaczkę z kogutem w ramionach i Rużenę wyrywającą jej ptaka z ręki i wrzaskliwie wyklócającą się o każdy halerz, a w końcu wystrychniętą na dudka.

Ewelina spostrzegła pieniądze, oczy jej się rozszerzyły, nie odrywając spojrzenia od monet i banknotów, ciągnęła jeszcze przymilniejszym tonem:

– No powiedz, Toniczku, czy to nie straszne, orznąć człowieka na tyle pieniędzy, ale daleko baba nie ucieknie, żeby nawet Markus miał postawić na nogi całą żandarmerię, wojsko i strażaków, wszystkich mężczyzn, którzy choć trochę mogą się ruszać, to ci heca, co?

Niedbałym ruchem, jakby to nie były pieniądze, ale paprochy, które trzeba zmieść ze stołu przed przyjściem gościa, żeby nie zastał nieporządku, wyciągnęła rękę, podsunęła otwartą torebkę i błyskawicznie zgarnęła z lady cały utarg.

– Pa, pa – ćwierknęła, pokiwała ręką i już była na ulicy.

– Hej! Hej! A bodaj cię piorun trzasnął z taką uczciwością! Ty sroko! Ty sroko srokata! – Brtko wciąż jeszcze patrzył z osłupieniem na drzwi, gdy posłyszał szczekanie psa. – Esenc! Esenc! – Podbiegł do drzwi, otworzył je gwałtownie i w tej samej chwili zawahał się.

Rzucił okiem w stronę kuchni. Nie może przecież dopuścić, żeby go uważano za złodzieja. A gdyby tak Lautmanowej wpadło do głowy wrócić tutaj i wziąć z kasy pieniądze na sól czy na paprykę. Jak by wtedy wyglądał? Nie zastanawiając się dłużej, zamknął sklep na klucz.

Żeby skrócić sobie drogę, przebiegł rynek na przełaj. Przed

gospodą niemal siłą musiał się przebijać przez ciżbę hałasujących chłopów w szerokokresych kapeluszach i wąskich sukiennych portkach. Obejść ich nie mógł, bo tuż przy chodniku niby mur stał długi rząd furmanek. Wpadał na ludzi, przechodnie się za nim oglądali. W biegu zerknął przez szybę do fryzjerni i dopiero przy aptece zwolnił kroku. Ludzie mijali go w obu kierunkach, ale on nikogo nie widział, nikomu się nie uklonił. Znow puścił się kłusem jak biegacz przed metą i omal nie napytał tym sobie nieszczęścia. Z podwórka rzeźnika wyskoczył buldog. Groźnie wyszczerzył kły i warknął. Brtko zatrzymał się i uspokajał go cierpliwie, aż wreszcie buldog, choć niechętnie, ustąpił mu z drogi. Brtko wpadł do trafiki. W swojej prążkowanej marynarce wyglądał jak zagoniona zebra.

Trafikant obsługiwał jakiegoś leśniczego. Mruknął do Brtko:

– Usiądź, zaczekaj, zaraz skończę. – I dalej zajmował się klientem.

Brtko jednak nie usiadł, kręcił się, zacierał ręce, gestami pokazywał przyjacielowi, że się spieszy.

– To chyba byłoby wszystko – mówił leśniczy. Twarz okalała mu kwadratowa broda. – Więc powiada pan, że to prawdziwa kość, no dobrze, a jak pan myśli, jak długo wytrzyma? – Uniósł fajkę i oglądał ją pod światło.

– Niech mi szanowny pan wierzy, ten cybuch wyszedł z pracowni najlepszego fajkarza w kraju. Ten i ten. – Trafikant podsunął klientowi drugą fajkę. – Jeżeli mogę szanownemu panu doradzić, polecałbym tę. Nie jest droższa, ale jest lepsza. Lepsza robota i elegantsze wykończenie. Zapakujemy czy też szanowny pan woli tę?

– Dobra – powiedział leśniczy i podrapał się w brodę. – Niech będzie ta, albo nie, wezmę tę.

– Ja bym jednak radził tę. Tę kupują wszyscy leśniczy, gajowi,

drwale, węglarze...

– Aha, no to nie, niech mi pan da tę!

– Dobrze, tę. – Trafikant zaczął podliczać: – Dwie, cztery, sześć paczuszek tytoniu, dwadzieścia pudełek cygaretek, tuzin zapalek i jedna fajka Bośnia...

Brtko chodził nerwowo po sklepie, leśniczy oglądał niezdecydowanie obie fajki. Wkładał je na przemian do ust, przygryzał zębami, przesuwiał z jednego kącika ust w drugi. Spluwał, po czym zaczynał od początku.

– W sumie to wypada... – mamrotał pod nosem jednoręki trafikant, śliniąc ołówek – ...osiem i sześć czternaście i dziewięć, nieprawdaż, dwa i dwa osiem, czternaście, ehm... wszystkiego trzydzieści osiem koron czterdzieści halerzy. Zapakujemy, proszę szanownego pana?

– Wie pan co, ja bym jednak wziął tę – powiedział leśniczy, a Brtko jęknął:

– Gejzo! – Ale to nic nie pomogło.

– Sam Franciszek Józef, szanowny panie, nie miał lepszej fajki od tej, którą pan wybrał – przekonywał trafikant. – Czego więcej można wymagać?

Wreszcie leśniczy się zdecydował.

– Spadasz jak z nieba – wykrzyknął radośnie trafikant, gdy klient w końcu wyszedł. Zamknął drzwi na klucz. – Gdybyś nie przyszedł, Tono, jak bożię kocham, ja bym poszedł do ciebie. Powiadam ci, takiego kawału już siedem lat nie słyszałem. Właściwie to nie kawał, dam ci zagadkę, a jeżeli odgadniesz, bracie, to pudełko będzie twoje, zgadzasz się?

– Gejzo! Gejziku, ty jesteś dobry człowiek, zaufany sąsiad...

– Gdybym nie miał do ciebie zaufania, przyjacielu, pary z gęby bym nie puścił. Czy wiesz, Tono, który gwardzista w naszym mieście ma najbardziej błyszczące cholewy butów?

– Najbardziej błyszczące cholewy butów?

– Poddajesz się?

– Gejziku, mógłbyś mi pomóc?

– Pewnie, posłuchaj, uśmiejesz się...

Do oszklonych drzwi trafiki zaczął się dobijać Esenc. Znalazł Brtka, węsząc po śladach. Skakał na szybę, ale przednie łapy zjeżdżały mu po szkle. Wpuścili go do środka.

– Skąd on się tu wziął?

– Wyobraź sobie, że Ewelina, co za bezczelność, przed chwilą przyszła do mnie do sklepu. Pies czekał na chodniku. Zgarnęła cały utarg do torby i fiuuu – resztę dopowiedział gestem.

– Cha, cha, cha. Prima, Tono, primisima, ale mój dowcip lepszy, na czym to ja skończyłem? Nie warcz, Esenc! Aha, już wiem. Kolkocky, twój dobroczyńca, twój szwagier, przyjacielu, kiedy się już do syta nakradł i wzbogacił, wbił sobie do głowy, że podziękuje gwiazdzie, pod którą się urodził, i że pogłaszcze ją po twarzy. Prima, co? O północy, cha, cha, słuchaj, o północy wyszedł Kolkocky do ogrodu, zaczął się modlić, poganin, wyciągnął rękę ku niebu, o tak, a że mu głupia gwiazda uwierzyła, ręka jakimś cudownym sposobem urosła mu do samego nieba. Ledwo jednak dotknął gwiazdy, hycel, zacisnął na niej palec. Zabrał gwiazdzie blask, nieszczęsna gwiazda zgasła, nie świeci już

na niebiosach, za to Markus Kolkocky od tego czasu, jak powiadają, ma cholewy cacane, jakby lustrzane – prima, co?

– Gejzo, mógłbyś za mnie założyć?

– Co? Jak to – założyć?

Ktoś załomotał klamką. Esenc warknęła. Czeladnik z warsztatu blacharskiego, w berecie naciągniętym na uszy, przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Jak gdyby dobijał się nie do trafiki, lecz do ustronnego miejsca. Spoglądał ponuro na dwóch gadułów przed kontuarem, pochłoniętych rozmową, której towarzyszyła gwałtowna gestykulacja. Widział też, jak trafikant odliczył Brtkowi na dłoń banknoty i drobne. W drzwiach zderzył się z Brtkiem.

– Tyjater sobie tu robicie czy co? – huknęła młodzik.

Brtko nie odpowiedział, pognał z powrotem do sklepu. Masz ci los, akurat na Baldowską musiał się natknąć. Przekłęta baba.

– Panie Brtko, kiedy ta drabina będzie gotowa?

– Drabina?

– A co, przecież nie zamówiłam u pana kompletu mahoniowych mebli! Co pan myśli, pół roku będę czekać, żeby pan dorobił szczebel?

– Nie mam czasu, pani Baldowska! – Brtko złapał się za brzuch i pobiegł, jakby się paliło.

Już przed drzwiami zorientował się, że w sklepie panuje spokój. Ukradkiem włożył banknoty i monety do kartonowego pudełka.

8

Ludzie powoli zapelniali rynek. Co bystrzejsi natychmiast ocenili wagę wydarzenia. Niecierpliwie wpatrywali się w głośnik w koronie rozłożystego kasztana, jakby mieli stamtąd wyjść strażacy z pióropuszcami na kaskach, bez drabin, ale za to z wielkimi instrumentami muzycznymi.

– Taka blaszana gęba zastąpi bębniście i całą kapekę – powiedział złośliwie ktoś spośród małej grupki ludzi.

– Trafił pan jak kulą w płot, młody człowieku – zachnął się wujcio Piti.

– Chciałbym to widzieć, gdy spadnie śnieg. Gdy napada śniegu po kolana, będziecie musieli go zdjąć. Druty zamarzną... – Zadarł głowę, patrzył na głośnik i wachlował się służbową czapką. – A co ty na to powiesz, Danielku? – zwrócił się do bosonogiego chłopca.

– Ja? Mnie się podoba i bęben, i to też – wskazał na głośnik – ale bęben, jejku, bęben podoba mi się bardziej – dodał chytrze.

W głośniku zacharczało. Ktoś, kto nie umiał się obchodzić z mikrofonem, wysłał w eter wiązaną brzydkich słów: – Do jasnej cholery, wyguzdrzecie się wreszcie? Gdzie jest ten idiota? Halo! Maszliczka! – Dziwne wrażenie robił ten nerwowy pośpiech na tle mieszaniny szmerów i stłumionej rozmowy. Potem jakiś dychawiczny głos rozwrzeszczał się, aż domy na rynku zadrżały w posadach jak niegdyś mury Jerycha.

– Bracia! Ja czuję waszą bliskość, wiem, że pragniecie usłyszeć nasz głos, nasz wolny głos, głos naszego narodu, głos naszego Wodza, głos, który wzywa do boju. Do boju, bracia, do boju o zjednoczoną

chrześcijańską Europę! Bracia! Razem z wami przeżywamy historyczne chwile, gdy to, o czym marzyli nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców, stało się rzeczywistością. – Mówca zniżył posępnie głos i ciągnął grobowo: – Tak, to, o czym marzyli nasi ojcowie... Pytam was – podjął – kto wywalczył to zwycięstwo? Czymże innym, jak nie naszym entuzjazmem można wyjaśnić fakt, żeśmy się tu dzisiaj zebrali niemal tak tłumnie, jak podczas procesji w dniu Najświętszej Marii Panny, naszej ukochanej Bogarodzicy?

Rozswawoleni chłopcy, chcąc się popisać przed tak liczną publicznością, z werwą okrążali rynek na rowerach, wyczyniając ekwilibrystyczne sztuczki. Starcy obsiedli ławki, a niektórzy kupcy wyszli przed sklepy. Wyciągali szyje i wpatrywali się w wylot ulicy, jakby w oczekiwaniu pochodu karnawałowego, jakby lada chwila miał ruszyć przez miasto sznur pojazdów przybranych lampionami. Ale przejechały tylko trzy kryte wozy wołoskich Cyganów pod eskortą dwóch konnych policjantów, którzy energicznie i hałaśliwie poganiali woźniców.

– Tak, bracia – rozległo się znów z głośnika – Kurhan Zwycięstwa, w którego cieniu słuchacie naszego przemówienia, monumentalny ostrosłup z jesionu, ten wspaniały pomnik pnący się ku niebu, zwieńczony zostanie hasłem dnia, hasłem świętym dla nas wszystkich. Za chwilę, bracia, będziecie świadkami historycznego momentu wzniesienia nad miastem hasła, dla którego uczczenia wznoszę okrzyk: *Na straż! Na straż!* – Z głośnika zagrzemiał rażny marsz.

Wysoko nad ziemią, na różowawym tle przedwieczornego nieba, widniały wyciosane z drzewa litery, omotane sznurami, tak że można było odczytać tylko słowo: BOGA.

– Widzisz, co się dzieje – rzekł wujcio Piti do swojego małego towarzysza. – Boga spętali łańcuchami, na skrzypiec go naciągają... czy to się godzi? Po czterdziestu latach pracy wyrzucić człowieka na bruk? Czy to nie grzech?

Odwrócił się i poszedł do zakładu fryzjerskiego.

– Nie mogę już na to patrzeć – powiedział, otwierając drzwi.

– Na co? Na co? – dopytywał się fryzjer.

– Jak to na co? Nie słyszycie, co się dzieje? Nie widzicie? Ja ci, Jożko, od razu mówiłem: to zwariowane monstrum na rynku nie wróży nic dobrego. No i sprawdziły się moje słowa. Nie mam racji, panie Kucharsky? – zwrócił się do usadowionego w fotelu klienta, a ten skinął głową.

Wujcio Piti przyciągnął do siebie fryzjera za połę białego kitla i zniżył głos.

– Mów, co chcesz, ale przecie lżej ci się pracuje, kiedy ten twój aryзатор nie stoi ci nad głową. Powiedz, prawda to – teraz już szeptał – że złapał... – i spojrzał znacząco na rozporek.

– Ba – pokiwał głową fryzjer Józef Katz – cieknie mu z ucha...

Kucharsky parsknął śmiechem.

– Czy ja panom przypadkiem nie przeszkadzam? – zapytał wujcio Piti.

– Ależ skąd – zapewnił go Kucharsky. – Jożko opowiadał mi akurat o starym Sojce... – Mrugnął do fryzjera.

Katz machał pędzlem i z lubością nakładał delikatną mydlaną pianę. Rozprowadzał ją wahadłowym ruchem od czoła aż do karku i z powrotem, po całej powierzchni okrągłej czaszki. Starannie omijał uszy. Imrich Kucharsky nie znosił piany w uszach.

– Znał pan przecież starego Sojkę, nie? – podjął fryzjer.

– Czy znałem? Nikt nie znał go tak dobrze jak ja. To nie był człowiek, to był anioł, anioł! – wykrzyknął wujcio Piti.

– Nie przeczę, anioł, ale jak powiadam, głowę miał osobliwą. Cała była obsypana czerwonymi wrzodzikami, takimi malutkimi, świeżutkimi, drobniutkimi wrzodzikami... – Fryzjer dziobał palcem po całej dłoni, aby pokazać, jak to wyglądało. – Błyszcząły niby świętojańskie robaczki w sierpniową noc...

– Jakoś tego nie zauważyłem, ale wiem, że strasznie lubił jeść. Do ostatniej chwili miał wilczy apetyt. Nawet na łożu śmierci zażądało mu się cielęcej rolady pokrajanej w cienkie płatki. – Wujcio Piti rozciągnął w uśmiechu usta, jakby ujrzał przed sobą ten przysmak. – Nadzwyczajny człowiek...

– Strzygłem go zawsze najpierw na trójkę, potem na zero, potem go ogoliłem, wymasowałem na glanc, on to bardzo lubił. Co tu dużo mówić, pod koniec lata stary Sojka głowę miał gładziutką jak z gipsu, jak z marmuru. Do trumny też go, biedaka, wyszykowałem jak należy, niech mu ziemia lekką będzie.

– Dzień dobry.

– Ajaj, jeszcze jeden sąsiad do towarzystwa. Cóż to, Brtko, interesy nie idą, że chodzisz po kominkach? No powiedz, weźmiesz mnie na współnika czy nie? – Woźny roześmiał się ze swojego dowcipu.

– *Baczi*^[5] Piti ma tyle humoru, że mógłby go sprzedawać.

– A co ty masz, Brtko?

– Ja? Żebym to wiedział... – Podrapał się w głowę. – Chyba przyjdę później.

– Ależ, panie Brtko, gdzie się panu tak spieszy? – zaprotestował fryzjer. – Niech pan sobie usiądzie, przejrzy gazetę... No więc, wracając do tych łysych – ciągnął – pamiętacie starego Kohna? – Strząsnął do umywalki warstwę piany zebraną na palce. – Cóż to był za pedant, panowie. Jak tylko zakwitły w ogródkach konwalie, starszy pan przydreptywał, stukając laską. Choćbym nie widział ani jednej konwalii, gdy Kohn przyszedł ogolić głowę, wiedziałem, że zakwitły. Biedak, w końcu z nerwów dostał takiego nieprzyjemnego tego no... tik. Zaczął drygać głową. O tak.

Śmiejąc się, patrzyli na komicznie podrygującego głową fryzjera, który demonstrował tik Kohna. Fryzjer podał wujciowi Piti brzytwę.

– Spróbuj, chciałbym widzieć, jak w takich warunkach zgolisz włosy na ciemieniu. Albo przyłóż ją sobie do gardła i potrząśnij tak głową. No.

– Lepiej niech Brtko to pokaże, chi, chi. – I oddał brzytwę Brtkowi.

Brtko wziął brzytwę, przyłożył ją sobie do gardła, a wszystkim od razu przeszedł śmiech.

– Człowieku, nawet się nie obejrzysz, jak zostaniesz mordercą! – krzyknął fryzjer, a wujcio Piti spokojnym głosem zaczął opowiadać:

– Znałem podobną historię. Pamiętacie tego mistrza kominiarskiego, co mieszkał za młynem? Miał trzech synów, dobrze mówię, najstarszy Jani, który od małego był niezłym gagatkiem, też się wyuczył na kominiarza. I zakochał się akurat w dziewczynie swojego brata. W którąś niedzielę, kiedy młodzian wybierał się na spotkanie, powiedział: „Ty, ja ci ten puszek zeskrobie, co? Tak cię wyrychtuję, że ta twoja rozum straci, zobaczysz”. No i wyrychtował go na wieczność. Brzytwa to jak chirurgiczny nóż, panowie...

Głowa Kucharskiego była dokładnie wygolona. Wujcio Piti spodziewał się, że ktoś nawiąże do jego opowieści o kominiarzu. Ale wszyscy po kolei odwracali wzrok.

– Chyba już pójdę, co, panowie?

– To już tak późno? – zapytał Kucharsky z udanym zdziwieniem.

– Nie wysilajcie się, panowie, po co ten cyrk – powiedział woźny.
– Ja wiem wszystko...

– W dzisiejszych czasach niedobrze jest wszystko wiedzieć – rzekł Kucharsky, udając, że zbiera się do odejścia.

– Wlazłem wam w paradę... Nie możecie się doczekać, żebym sobie poszedł...

– Ależ, *baczi* Piti, jak możesz coś podobnego...

– *Baczi* Piti wstał dziś lewą nogą.

– Wcale nie. – Woźny uniósł rękę. – Żeby było jasne: mnie nie musicie się bać. Nie musicie. Nie musicie? – zmienił nagle ton, jakby uświadomił sobie swoje możliwości i postanowił je wyzyskać. – Myślicie, że nie wiem o waszych machlojkach? Mam was w garści. – Po czym spokojnym, z lekka szyderczym głosem ciągnął: – Wiem o was wszystko. Doniosę na ciebie i na ciebie. – Jak w dziecięcej grze wskazywał każdego po kolei. – Doniosę na was wszystkich, skapnie mi trochę grosza. Nie! Wcale nie to chciałem... Przyszedłem, bo myślałem, że pomożecie i mnie. Ale gdzie tam! Wy pomagacie tylko Brtkowi, myślicie, że tylko wy jesteście mądrzy? Albo wiecie co? Ja... ja was jednak nie wydam. Jakże bym mógł... Moje uszanowanie, panowie! – Trzasnął drzwiami.

– Widzę, Brtko, żeś nam nawarzył kaszy – odezwał się w ciszy

Kucharsky.

– Ja... ja mu ani słówkiem...

– A trafikantowi?

Brtko spuścił wzrok.

– Komu mam wierzyć, jeśli nie najbliższemu sąsiadowi? – zawołał płacząco.

– Twój dług u trafikanta uregulowałem – oświadczył Kucharsky lakonicznie. – Piti jest nieszkodliwy, jego nie musimy się bać... Chciałem ci powiedzieć, że stowarzyszenie przyznało ci zapomogę. Ale nie myśl, że to łatwo poszło. Pan Katz i sekretarz Blau dobrze się nagardłowali, zanim przekonali szanownych dobroczyńców. Zresztą, niech ci to sami powiedzą.

Brtko otworzył szeroko oczy. Za zasłoną w głębi zakładu mignął zarys postaci w kapeluszu na głowie.

– Chyba nie muszę się panu Brtkowi przedstawiać – powiedział drobny mężczyzna z białą brodą, zacierając ręce.

– Drukarz Blau – szepnął Brtko.

Fryzjer przekręcił klucz w drzwiach.

– Ja tylko po to przyszedłem, panie Brtko, żeby zapewnić pana w imieniu stowarzyszenia, że ono się przychyli do wszystkich pana żądań, jeżeli tylko nie będą przekraczać naszych skromnych możliwości...

– Pan Brtko to przyzwoity człowiek – wtrącił się fryzjer.

– Przyznaliśmy panu zapomogę – ciągnął sekretarz. – My panu wierzymy, to i niech pan nam wierzy, skoro już Panu Bogu spodobało się zrobić pana opiekunem Lautmanowej. Ja pana tylko proszę, żeby pan jej nie skrzywdził...

– O tym nie ma mowy, dlaczego Brtko miałby ją krzywdzić – przerwał mu fryzjer. – Jest ściśle tak, jak powiedziałem w stowarzyszeniu: nasza droga współwyznawczyni, wdowa Rozalia Lautmanowa, kobieta nieposzlakowanej uczciwości, której los dozwolił dożyć szacownego wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, znalazła łaskę w oczach Pana i dostała najprzystojniejszego aryźtora na kuli ziemskiej. Aryźtora, który nie tylko będzie jej pomagać w sklepie, lecz także gasić, gdyby nie daj Boże sklep stanął w płomieniach. Ale za darmo, panowie, nawet kura nie grzebie. Kochanemu Panu Bogu jak na razie nie udało się jeszcze stworzyć takiego aryźtora, który by się zadowolił samym dekretem, i w tym właśnie rzecz, panowie...

– Nie powinno się żartować, kiedy innym ciężko na sercu – skarcił go brodaty sekretarz.

Pani Rozalia Lautmanowa, której łaska Pana użyczyła błogosławieństwa wieku siedemdziesięciu ośmiu lat i dobrodziejstwa głuchoty, dzięki czemu zachowała niczym niezmacone wyobrażenie, że po świecie chodzą wyłącznie mili i dobrzy ludzie – spojrzała z wdzięcznością na swojego subiekta, gdy po powrocie z zakupów rzekł:

– Czasu mamy dosyć... Najpierw zrobimy porządek z meblami w pokoju, a potem weźmiemy się do półek w sklepie... To wstyd, jak one wyglądają.

Wcale nie musiała słyszeć, co mówi, i tak wyczuwała jego dobre intencje. Oddał jej torbę, w której przydźwigał kartofle, a ona powiedziała:

– Zrobię na obiad coś takiego, za czym nieboszczyk Heinrich po prostu przepadał. Ty też lubisz ołatki?

– Ołatki, ołatki – uśmiechnął się Brtko – kto by nie lubił ołatków?

– Ciasto nie może być rozwałkowane ani za cienko, ani za grubo. Ale najważniejsze dać dobry smalec. Mam w spiżarni trochę gęsiego, jeszcze z zaprzeszłego roku. Chcesz, to ci nasmaruję kawałek chleba.

Staruszka nie czuła się już taka samotna, a stolarz po raz pierwszy od dłuższego czasu miał trochę spokoju, znalazł tu schronienie przed ludźmi, którzy go namawiali do jakichś niepojętych rzeczy. Znów wykonywał swoje rzemiosło, choć w dość niezwykłych warunkach.

Najpierw naprawił szafkę pod owalnym lustrem, a następnie rozebrał łóżko z misternie rzeźbionymi ozdóbkami na obu ściankach. Rozłożył piłki, imadło, heble, postawił na kuchni garnek z klejem, żeby

się rozgrzał.

Staruszka uśmiechała się z zadowoleniem. Meble z pewnością będą wyglądać jak nowe, nikt nie pozna, że mają już prawie pół wieku. Z uznaniem oglądała świeżo wypolituowaną nocną szafkę, jak dziecko dotykała czubkiem palca lśniącej i pachnącej nowością powłoki.

– Aj, ty masz złote ręce – powiedziała i pogładziła klęczącego wśród narzędzi Brtka po czuprynie. Potem poszła do sklepu, a koło południa wzięła się do gotowania.

Wyglądała niezwykle świeżo, gdy w białym wykrochmalonym fartuchu i chusteczce obszytej ząbkowaną koronką zajrzała do pokoju. Jej pomocnika otaczała gromadka widzów, Danielek Eliaszów, Erzika Kucharskich i Esenc. Rozalia oznajmiła:

– Obiad będzie za godzinę. – I podreptała z powrotem do kuchni. Ale za chwilę przydreptała znowu. – Dzieci, co byście nie miały puścić sobie gramofon? – Wytarła kurz ze staromodnej skrzynki z ogromną tubą. – Płyty są tutaj. – Schyliła się i wyciągnęła z szuflady szafy kartonowe pudło. – I to jakie piękne płyty!

Teraz już mogła zająć się obiadem. Przez uchylone drzwi płynęła do kuchni muzyka, a z kuchni do pokoju woń potraw. Rozalia zdjęła pokrywkę z garnka, zgarnęła widelcem ułożone na deseczce grudki ciasta i wrzuciła do bulgoczącej wody; zacierki koziółkowały we wrzątku, nim wypłynęły na powierzchnię, jakby w takt żywej, melodyjnej żydowskiej piosenki, którą cicho nuciła.

Dziewczę z długim warkoczem

tumba tumba tumbala

białą suknię szyje.

Jak przyjemnie robi się człowiekowi na duszy, gdy słucha takiej żywej, swojskiej muzyki! Wesołe, filuterne trylowanie piszczałki podrywa nogi do tańca, nawet zwierzę nie może mu się oprzeć. Esenc podniecony merda ogonem, przechyla łeb to w jedną, to w drugą stronę, jakby słuchał piosenki to jednym, to drugim uchem. W pewnej chwili aż stanął na tylnych łapach, jakby chciał zatańczyć.

Lautmanowa trochę straciła głowę. Musi uciec się do pomocy palców, żeby obliczyć, ile talerzy postawić na stole zasłanym białym obrusem.

Brtko tłumaczy chłopczykowi, który nie spuszcza z niego oczu:

– Najważniejszy jest spirytus. Starczy mała kapka, żeby strącić olej z politory. Inaczej nie miałyby połysku. A na końcu daje się szelak.

– Szelak? Co to jest szelak?

– Szelak, synku, robi się z ptasich gówienek – wyjaśnił Brtko i odłożył zarzący się papieros na blaszaną papierośnicę. – Zbierają te gówienka aż w Afryce, na gałęziach drzew.

Dom znów rozbrzmiewał wesołą piosenką. Siedzieli przy stole. Brtko wysiorbał zupę i poprosił o dolewkę, jadł z apetytem i kończył opowieść:

– Ubranie o człowieku nie świadczy... Temu panu z pałacu robiłem stół. Wtem wpada do pokoju jakiś elegant. Jedwabny motylek, brylantowa spinka, głowa wypomadowana, wypachniony, aż człowieka zatyka, rzekłbyś – wielki pan, no nie? A trzeba go było słyszeć... – I Brtko na to wspomnienie tak błogo się uśmiechnął, że Lautmanowa nie wytrzymała i odpowiedziała mu:

– Nieboszczyk Heinrich też lubił fasolówkę. Jak zacierki wyszły w sam raz, ani za miękkie, ani za twarde, to Heinrich mówił: „Rozalio,

twoje zacierki mają dzisiaj smak manny”. „Nie, Heinrich, one są takie jak zawsze. Tylko ty się porządnie przegłodziłeś”. „Nie, nie” – bronił się. – „A twoja fasola, to, można powiedzieć, migdały”. „Aj, Heinrich, co ty mówisz, przecież migdały są gorzkie”... „Grunt, że mi smakuje, Rozalio, smakuje mi, a to twoja zasługa”...

Staruszka tak się pogrążyła we wspomnieniach, że niemal zapomniała o gościach i obiedzie.

– I co było, jak ten pan złapał tego białego motylka? – zapytał Danielek.

– Najpierw ty mi powiedz, co mówi twój tata – domagał się Brtko.

– Mój tata? Mój tata mówi: moich siedem córek to siedem bezcennych pereł, a mój jedyny syn jest wykolioko. – Danielek wznosił palec i naśladował głos ojca: – On nie zginie w świecie.

Brtko roześmiał się, ubawiony. Staruszka mu zawtórowała.

– Jeszcze mi powiedz imiona twoich siedmiu sióstr.

– Ja powiem, ja powiem! – zawołała Erzika i wyrecytowała śpiewnie: – Cypra, Perła, Ryfka, Małka, Sara, Lea, Judytko.

Dzieci zaczęły skakać wokół stołu, powtarzając imiona jak w wyliczance. I wszystko by się dobrze skończyło, gdyby nie łakomstwo Esenca. Dał susa i łapą strącił z kuchni porcelanowy półmisek z ołatkami.

Brtko zdumiał się, spotkawszy na ulicy sąsiada. Kował Balko nie wychodził wieczorami z domu, najwyżej siadywał na ławce przed domem.

– Do szynku, do szynku? – zapytał ciekawie.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem – odpowiedział sąsiad i szarpnął nerwowo wąsa. – Ja... ja to wyciągnę na światło dzienne! Banda łajdaków! Takie draństwo! Do licha – zniżył głos – sam nie wiem, do kogo iść wpierw, ale tak tego nie zostawię. Postawię na nogi całą kapelę!

– Co się stało, sąsiedzie?

– Co się stało, co się stało. Jeszcze nic, ale może się stać. Dopiero co był u mnie ten... Piotr Czarny. „Pan jest ten dyrygent od strażaków?”. Jakby mnie nie znał, hycel. „Ja. Pytasz się, jakbyś przyjechał z Paryża”. Uch, jakbym mu dał kopa w tyłek, waźniak nadęty...

– Jakże nie, Czarny, wiem, co to za numer, zawsze był taki waźniak. – Brtko miał z tym dudkiem nieprzyjemne zajście. Bo czyż to jego wina, że Esenc, wykorzystując nadarzającą się okazję, oddał się miłosnym igraszkom z suczką Eliaszków? Stolarz o niczym nie miał pojęcia, nie wiedział, co się wyprawia na chodniku przed sklepem. A gdy go zaalarmowano, wcale się tym nie przejął. Niby dlaczego odmawiać psom tych przyjemności? Psy nie mają rozumu, więc nie można od nich wymagać rozumnego postępowania. Brtko poniosło. Wyrębał to wszystko ludziom tłoczącym się wokół przerażonych zwierząt, które ze wszystkich sił, lecz bezskutecznie usiłowały się rozłączyć. Wtedy właśnie wdał się w całą sprawę Piotr Czarny, paradujący w mundurze gwardzisty i wysokich butach. Zaczął walić

Esenca pięścią w nasadę ogona.

– Zostaw go, to mój pies i tylko ja mogę go bić! – wybuchnął Brtko, ale zaraz tego pożałował, te słowa bowiem tylko wzmogły święte oburzenie obrońcy moralności.

– Ty ścierwo, ty kanalio, jak ci nie wstyd parzyć się tutaj, pod Kurhanem Zwycięstwa, i jeszcze do tego z żydowską suką! – ryczał, tłukąc psa.

Ktoś z tłumu rzucił:

– Ta suka już dawno nie należy do Eliasza, musiał ją oddać.

– Burszik ją kupił – odezwał się inny głos.

Ale Piotr Czarny był innego zdania.

– Co z tego, tak czy siak, ma żydowskie pochodzenie. – Na to już nikt nie znalazł argumentu. W tej chwili psy boleśnie zaskowyczały, nareszcie zdołały się rozłączyć.

– O tak, Piotra Czarnego znam bardzo dobrze – powiedział Brtko do kowala.

– Wlazł i powiada: „Przynoszę rozkaz z komendy. W sobotę, panie Balko, o godzinie ósmej orkiestra strażacka w pełnej gali ma się stawić na rynku”. Do licha, co będzie w sobotę na rynku? Pochód karnawałowy?

Brtko uśmiechnął się. Zorientował się, że jego ta sprawa nie dotyczy.

– To faktycznie dziwny rozkaz – powiedział – ale ja myślałem, że Bóg wie co się stało, bo taką macie ponurą minę, sąsiedzie...

– Czekaj, czekaj, jeszcze nic nie wiesz, a gadasz. No to... no to ja ci powiem, choć jesteś tym aryzatorem, ja ci powiem, skoro już się tu napatoczyłeś, ale najpierw ty mnie powiedz, co masz w torbie? A?

– Co miałbym mieć, nic wielkiego, zakupy, nie warto o tym mówić... – Brtko usiłował schować skórzaną torbę za siebie. Daremnie. Kowal chwycił ją za róg i potrząsnął.

– Żelazne ogórki tam masz, co? Nie łzyj! Ja wiem, że masz w niej narzędzia.

– A bo co, czy to zabronione? Mam narzędzia, i co z tego?

– Ja nie tylko to wiem. Wiem, że w nocy włamałeś się do swojego warsztatu i skradłeś wercajg... Może nie?

– Cudzego nie wziąłem, tylko swoje.

– Ale na co ci, gołąbeczku, wercajg? Gdzie się włamałeś? No? – Olbrzym kowal nachylił się i niemal przytknął ucho do ust Brtko.

Brtko umyślnie powiedział bardzo głośno, aby pokazać, że nie robi z tego tajemnicy.

– Wielka rzecz, naprawiałem półki w sklepie...

– Zaufanie za zaufanie – rzekł kowal – ja ci też coś powiem, bo to i ciebie dotyczy, tej twojej Żydówki. Ale pamiętaj, żebyś się nie wygadał. Żydzi dostaną wezwania, wywiozą ich do pracy. Podobno wszystkich co do jednego. Sprzedaję tak, jak kupiłem. Żebyś mi potem nie zarzucał łgarstwa przed sądem! A te łobuzy chcą – ciągnął kowal, nie spostrzegłszy, że wiadomość o wywózce zaparła Brtkowi dech – żeby moja – wałnął się dumnie w piersi – żeby moja orkiestra przygrywała przy tym na promenadzie. Tfu! – Splunął. – Pamiętaj – pogroził mu

palcem – ja ci nic nie mówiłem... A zresztą ty już o tym wiedziałeś, co? Założę się, że wiedziałeś, najlepszy dowód, że nic nie gadasz. No pewnie, toć masz swoich szpiclów, szwagier Kolkocky, taka szyszka... To może mi powiesz, dlaczego wyganiają Żydów z miasta? Komu oni przeszkadzają? Chyba że tobie, ty aryjski chrześcijaninie! Do widzenia! – I odszedł, zostawiając Brtka na środku chodnika.

Rozalia Lautmanowa przysunęła fotel do okna. Ogromny wolterowski fotel, w którym zupełnie ginęła. Lubiła w nim siadywać, był taki wygodny. O dziwo, słońce wcale jej nie przeszkadzało. Sąsiadka nieraz ostrzegła:

– Pani Lautmanowa, nie powinna pani siedzieć na słońcu.

– Dlaczego nie? Dlaczego nie? Mnie słońeczko nie zaszkodzi. Ja mam ze słończkiem umowę... – Teraz półgłosem mamrotała: – Słońeczko to dobra rzecz, rozgrzewa stawy...

Zegar na wieży wskazywał jedenastą. Gołębie krążyły wokół dzwonnicy, przed sklepem turkotały furmanki. Brtko dojrzał listonosza. Mignął na chodniku, nawet nie spojrzął w kierunku sklepu. Sprawy wcale nie muszą być takie skomplikowane, jak ludziom się wydaje. Rano powiedział staruszce, że reperację mebli skończy w przyszłym tygodniu. Resztę narzędzi schował na razie pod łóżkiem w pokoju. Teraz wpadło mu na myśl, że lepiej będzie zabrać je do domu. Wszedł na palcach do pokoju. Nie widział staruszki, ale słyszał jej oddech.

– Jesteś tutaj, synu?

Brtko drgnął. Zerwał się z podłogi.

– Ja wiedziałam, że przyjdiesz, przecież musisz mi opowiedzieć o Liluni. To Lilunia urodziła trojaczki. Ajaj, i dlaczego ta psotnica nigdy mnie nie odwiedzi?

Uniosła się na łokciach, ale widząc, że mówi w pustkę, znów usadowiła się wygodnie.

Brtko zdecydował się nagle. Podbiegł i stanął przed fotelem, zaciskając pięści, jakby zamierzał kogoś zboksować.

– Pani Lautmanowa! – zawołał.

– Co się stało? No, co się stało? – Wyczuła coś złego.

– Rozsyłają Żydom wezwania. To bardzo źle, pani Lautmanowa. Bardzo źle!

– Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej. Zapamiętaj to sobie. – Zmrużyła oczy i uniosła w górę palec. – Ty myślisz, że ona padnie przed tobą na kolana, że się upokorzy? Ty się tego nie spodziewaj po żadnej kobiecie, a co dopiero po żonie.

– Po niej na pewno nie – mruknął Brtko.

Na rynku działy się niezwykle rzeczy. Nawet gołębie były zaniepokojone. Siedziały na gzymisie wieży, gotowe w każdej chwili frunąć wyżej albo całkiem odlecieć, gdyby zaszła taka konieczność. W dole, na ziemi, panował ożywiony ruch. Na gwałt kończono pracę przy Kurhanie Zwycięstwa. W pobliżu stały wozy, na które miano załadować deski oszalowania. Plac wokół Kurhanu musiał być pusty. Gapiów odpędzono aż na chodnik. Dwaj policjanci byli nieubłagani. W oknie Domu Miejskiego tkwili Markus Kolkocky, Piotr Czarny i redaktor Maszliczka, obserwując z tego swojego stanowiska dowodzenia teren, na którym miała się rozegrać decydująca bitwa. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie stąd padnie rozkaz wszczęcia ognia. Konstrukcję oszalowań tak zaprojektowano, że można je było rozebrać bardzo szybko.

– Uwaga, uwaga! – zabrzmiało z głośnika. – Prosimy publiczność,

aby ze względu na własne bezpieczeństwo odsunęła się jak najdalej od Kurhanu!

Apel został powtórzony trzykrotnie i ledwo przebrzmiał, oszalowanie z piekielnym łoskotem zaczęło walić się na ziemię. Wzbiły się tumany kurzu. Gdyby nie to, obelisk zwycięstwa zajaśniałby pełnym blaskiem. I znów ten piekielny rumor. Aż ziemia zadrżała.

– Co się to dzieje? Grzmi? – zapytała staruszka. Drzemała w kącie sklepu, ale zbudziły ją jakieś odgłosy. – Akurat śnił mi się Imrich. Całą noc tak lało. Słyszałeś tę okropną burzę w nocy?

Brtko z napięciem obserwował wydarzenia na rynku.

– Śniło mi się, że jest u dentysty... No, mnie już zęby nie bolą... A pół roku temu to on zapomniał tutaj parasol... To ja mu ciągle mówię: zostawiłeś tu parasol... Ale jeszcze go nie wziął... Co dzisiaj jest, środa czy czwartek?... Aj, jak szaro. Która godzina?

Brtko nadal stał przy drzwiach.

– Teraz sobie przypomniałam – ciągnęła staruszka swój monolog – raz przyszedł i miał tak samo obwiązaną twarz. To co ja mu wtedy powiedziałam? Powiedziałam: „najlepiej płukać rumiankiem...”. Ja to znam, okostna, zęby... Biedak. Wtedy też było tak szaro. Która godzina?

– Kochał światło. Światło i ostry nóż, to były jego największe upodobania. Niech pan tylko policzy, panie Brtko. Czterdzieści lat go strzygłem i goliłem. Czterdzieści lat... to jest pełna stodoła włosów... Co ja mówię, stodoła, dziesięć stodół, sto stodół włosów...

Fryzjer Katz w roztargnieniu brał w rękę maszynki, nożyczki, flakoniki i zamiast je układać w tekturowej walizce, przesuwiał z brzękiem z miejsca na miejsce. Szara tafla lustra odbijała jego postać w czarnym kapeluszu i długim po kostki płaszczu. Wyglądał jak

czarnoksiężnik.

– Przez cały dzień narzekała – powiedział Brtko – że czuje się jakaś nieswoja i że w nocy była burza...

– Panie Brtko, ja nie jestem mędrzec, ale jedno wiem na pewno: tam, gdzie władza krzywdzi uczciwych ludzi, koniec ze wszystkim. Wcześniej czy później przyjdzie kolej na każdego, nawet na tych, co takie prawa wymyślają. Zaczną się wzajemnie pożerać. Jak ryby. Drapieżna ryba zjada słabszą. Mała ryba mniejszą od siebie. Tak już jest... Imrich Kucharsky już nie przyniesie Lautmanowej szabasowej ryby. Koniec z rybami. Kucharskiego wsadzili do mamra.

Brtko zerwał się z krzesła.

– To nie jest mój wymysł – powiedział fryzjer.

– Panie Katz, pan też wyjeżdża?

– Może pan jeszcze powie, że jadę na wycieczkę? Pan nie widział straży wokół miasta? Ani uzbrojonych patroli gwardzistów na ulicach? Pan nic nie wie o karabinach maszynowych ustawionych na podwórzach jak podczas jakiego oblężenia? Tylko tego brakuje, panie Brtko, żeby mi pan poradził utworzyć razem ze starą Lautmanową batalion i rzucić się z gołymi rękami na gwardzistów. Przyłączy się pan do nas, panie Brtko?

– Ja... już muszę iść, panie Katz... wstąpiłem, bo myślałem, tak jak pan mówił... a i ten wasz sekretarz... że niby co tydzień mam przyjść i wziąć tego... pieniądze od waszego stowarzyszenia. Muszę już iść. Do widzenia, panie Katz.

– Do widzenia, panie Brtko. Dobry Pan Bóg z pewnością ześle panu tłumy klientów na guziki i koronki i obfite zarobki, żeby wynagrodzić panu tę stratę. Uwaga na głowę! – zawołał nagle. W chwili gdy Brtko zatrzymał się gwałtownie przed ściągniętą do połowy żaluzją,

walizka z ogłuszającym brzękiem sypiących się na podłogę rzeczy spadła z krzesła.

Rozejrzawszy się, czy nikt go nie widzi, Brtko pobiegł wprost do mieszkania Kucharskiego.

– Sama jesteś? – krzyknął do Erziki. Kiwnęła głową.

Brtko rozejrzał się po pokoju. Panował w nim straszliwy nieład. Na podłodze leżały szuflady, rozrzucone papiery, pościel, dywan był wywinięty na lewą stronę, szafy odsunięte od ścian, wazon przewrócony.

– Dopiero co był tu pan Gejza – oznajmiła Erzika.

– Trafikant? – Brtko opadł na krzesło pośród rozrzuconych rzeczy.

– Powiedział mi: „Pójdiesz ze mną, Erziko”. A ja mu powiedziałam: „Dobrze, pójdę z panem”. A on powiedział: „Wiesz co, ja tu jeszcze przyjdę. Wrócę za chwilę”.

– Po co?

– Ja nie wiem. Potem przyszedł Danielek i powiedział: „Z samego rana pójdziemy na jagody. A wieczorem... zobacz, co mam...”. Wie pan, co on miał? Taki strasznie wielki klucz, jak ma święty Piotr do bramy niebieskiej. Powiedział: to jest klucz od więzienia. Uwolnimy dziadka. A pan Gejza jeszcze powiedział: „Wzięli go wprost od bilardu”. Łobuzy!

– O mnie nie pytali?

– Czterech ich było. Już chyba godzina, jak poszli. Jeden to zrobił o tak... – dziewczynka pokazała, jak ją odepchnął. – Niech pan zobaczy!
– Uniosła spódniczkę i pokazała obtarte do krwi kolano.

– Po co przyszli?

– Ja nie wiem. Może po obrazy...

– Po obrazy? Zabrali jakiś obraz?

– Tak, ten, na którym są trojaczki cioci Lili. Bardzo im się podobał. U pana też byli?

– U mnie? Dlaczego? Co by u mnie robili?

– Ja nie wiem. To, co tutaj, nie?

Błyskawice rozjarzały grzbiety wzgórz, widnokrąg i ulicę. Migotliwie, jakby ktoś zapalał i natychmiast gasił światło. Lało jak z cebra. Od strony rynku słychać było oddalający się stuk butów patroli, a tutaj, w pobliżu kościoła, człapały niepewnie czyjeś kroki.

Brtko podniósł kołnierz i wtulił głowę w ramiona. Jego kroki zdradzały niezdecydowanie: jest sens iść w tym kierunku, czy może lepiej zawrócić i pójść w przeciwnym? Huknął piorun. A zaraz potem niebo zapłonęło, ale nie była to błyskawica. Brtko nie spostrzegł, że na szczycie ostrosłupa zamigotały świetliste litery. Sprawdzano, jaki to będzie miało efekt w ciemnościach.

Brtko przemykał się pod ścianami, a gdy wchodził na podwórze, posłyszał ujadanie Esenca. W tej samej chwili wysoko nad rynkiem, na szczycie drewnianego ostrosłupa znów zajaśniał i natychmiast zgasł ogromny napis: ZA BOGA ŻYCIE – ZA NARÓD WOLNOŚĆ

– Na litość boską! – załamała rękę Ewelina. – Jak ty wyglądasz? – Podbiegła do męża. – Żebyś się tylko nie przeziębził – dodała. – Zobacz, co dzisiaj masz. – Wskazała odświętnie nakryty stół. Wyjęła z szafy czystą bieliznę i niedzielne ubranie. – Musimy się pospieszyć – powiedziała – żeby nie czekali na nas długo.

Ponury nastrój Brtka przygasił jej serdeczność. Siadł przy stole i zaczął jeść zupę.

– Dostyc słona? – zapytała.

Ugryzł kawałek chleba i kiwnął głową.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę – powiedziała.

– Coś się tak wystroiła? – spytał z roztargnieniem.

Ewelinę zatkało. To nieoczekiwane pytanie świadczyło, że obiecana wizyta u Markusów, gdzie miało być duże towarzystwo, może nie dojść do skutku. Ale po co z góry się martwić. Uśmiechnęła się.

– Zapomniałeś, Toniczku, że idziemy dzisiaj w goście? Po drodze kupimy ze dwie butelki i coś na ząb... Pozmywałam już, sprzątnęłam. Masz tu niedzielne ubranie, nawet spodnie ci wyprasowałam.

– O czym ty mówisz?

– Pamięć straciłeś? – krzyknęła z rozdrażnieniem. – Przecież mówiłeś, że przyniesiesz dziś furę pieniędzy... O Boże, co tak na mnie patrzysz?

– Daj mi spokój!

– Ależ Toniczku! – Podjęła jeszcze jedną próbę. Zarzuciła mu rękę na szyję. – Dlaczego jesteś taki nastroszony? Radujmy się! Weselmy się! Ja się tak cieszyłam... Może zupa ci nie smakuje?

– Nie jestem głodny! – Odsunął gwałtownie i talerz, i żonę.

Ewelina tupnęła.

– Dawaj forszę! Mówię ci, daj pieniądze!

– Jakie pieniądze?

– Z utargu. Już zapomniałeś? Przecież mówiłeś, że dziś przyniesiesz kupę forsy i że wydusisz nareszcie z Żydówki, gdzie chowa swoje skarby. Biżuterię. Drogie kamienie. Gdzie masz pieniądze? Pieniądze! Pieniądze! – Biła pięścią w stół. – Nie dasz? Dobrze. Poradzę sobie inaczej!

Wlepił w nią wzrok, patrzył, jak się wścieka, wyczuwał jej bezsilność. Żeby ją jeszcze bardziej podjudzić, powiedział z udanym spokojem:

– Zostaniesz... Wiem, że zostaniesz. Znam cię. Tyle razy już się odgrażałaś, a ciągle siedzisz mi na karku!

– No żebyś wiedział, żebyś wiedział... – Skutek przeszedł jego oczekiwania. – Kicham na twój pierścionek! Mogę mieć inny. Zabierz go sobie! Udław się nim! – Z wściekłością zdjęła kolczyki z uszu. – Masz te swoje świece, te prezenty, którymiś mnie uszczęśliwiał. Teraz już wierzysz? – I znów zaczęła tupać.

– Przestań!

– Nie przestanę! Ona ma złoto! Drogie kamienie! Gdzie to jest? Gdzie jest biżuteria Żydówki? Mów!

– Zamknij gębę!

– Przecież jutro ją wywiozą!

– Milcz! – Zatarmosił ją za ramię.

– Zabić mnie chce! Ludzie! Ludzie! Cha, cha, cha...

W histeryczny śmiech wdarły się zawodzące tony skrzypiec z sąsiedztwa.

– Wynoś się! – Odepchnął ją gwałtownie. Potknęła się i mało nie upadła, lecz zaraz znów przyskoczyła do niego.

– No proszę! Zabij mnie!

Znów złapał ją za ramiona i zaczął tarmosić.

– Sąsiedzi, słyszycie? Mój gołąbek zwariował. Żydówce zostawił biżuterię, a mnie chce zabić! Nie wierzy, że jutro ją wywiozą! – krzyczała mu prosto w twarz zdławionym złością głosem.

Zwalił ją na podłogę.

– Bij!... Jeszcze... mocniej! Tłucz!... Choć raz... w życiu... choć... raz jesteś... mężczyzną...

Ale gdy spostrzegła, że Brtko zapamiętuje się i że może ją naprawdę zatłuc, wybuchnęła wrzaskiem:

– Na pomooc! Na pomooc! Dusi mnie! Ludzie, na po... Odkopnął ją jak parszywą padlinę. W pobliżu zabrzmiały dwa zgrzytliwe skrzypcowe akordy. W drzwiach stanął wujcio Piti w ściągniętej paskiem rubaszce, ze skrzypcami pod pachą. Bojaźliwie, jakby zaglądał do kostnicy, wsunął głowę.

– Już myślałem, że zrobiłeś jej ksss... – Dotknął smyczkiem szyi, po czym wskazał nim leżącą na podłodze szlochającą kobietę.

Jeśli kto kiedykolwiek zwątpił w szlachetność wujcia Piti, to tutaj, w knajpce na rynku, wlewając w gardło lekkie wino przy wesołym

akompaniamencie cymbałów, w przytulnym półmroku, mógł się przekonać, jak krzywdzące było to podejrzenie.

Hej, piłoby się, piło,

gdyby było za co.

Bez względu na porę człowiek mógł tu znaleźć wytchnienie i odpowiednie dla siebie towarzystwo. Kto pragnął samotności, mógł się odizolować. Wujcio Piti i Brtko usiedli przy stoliku pod ścianą. Należeli do stałych gości tego lokalu, o którym fama głosiła, że jest nie tylko przytulną knajpką, lecz także burdelikiem. Skąd poszła ta pogłoska, nie wiadomo, może źródłem jej były dwie ładne dziewczyny obsługujące gości (zawsze tylko dwie), dobierane przez właściciela według własnego gustu. Pan Fedko równie dobrze zresztą znał się na sprawach zaopatrzenia. Mimo że w tych ciężkich wojennych czasach niemal nic nie można było dostać, lokal dysponował najszerszym asortymentem alkoholi. Nie wyłączając słodkich likierów. Nie bez znaczenia był również fakt, że były tu i zagraniczne papierosy, i mięso, i jajka, i smalec, słowem, co tylko dusza zapragnie, oczywiście – psss – jedynie dla znajomych, względnie przyjaciół znajomych. A ponieważ niemal wszyscy się tu znali, nie robiono różnic w przydziałach, każdy, kto tylko miał pieniądze, dostał, co chciał. Już na długo przedtem, nim knajpka stała się oazą obfitości wśród powszechnego niedostatku, nazywała się Eden. Ta nazwa pozostała nadal, z tą drobną różnicą, że ktoś przetłumaczył ją na Paradis.

W Paradisie Brtko i wujcio Piti nie czuli się już tak pewnie i dobrze jak niegdyś w Edenie. Także właściciel trochę się zmienił, nie na tyle jednak, aby im pokazać drzwi, gdy na początek zamówili jedynie literkę zwykłej siwuchy. A ponieważ męczyło ich pragnienie, wujcio Piti zadysponował wkrótce drugi – na zapas, jak powiedział. Kiedy już wygarnął sąsiadowi prawie wszystko, co miał na sercu, przysunął bliżej krzesło, złożył ręce na stole i powiedział:

– Więc ty mi wciąż nie wierzysz, przyjacielu? No to wiesz co, ja ci to powiem inaczej. Przecie idzie o żywą istotę, no nie?

– Dasz na to słowo?

– Do diabła starego, przyjacielowi wierz, a nie jakimś psiaługom!

Unieśli kieliszki i stuknęli się.

– Długo zamierzasz jeszcze czekać? – podjął wujcio Piti, ocierając wąsy, które przed tygodniem zaczął zapuszczać. Stłumił głos: – Mówię ci, idź tam i tyle, ja tu tymczasem popilnuję.

– Nie wiem, *baczi* Piti, nie wiem...

– Czego nie wiesz? Myślałeś, że doniosłem na Kucharskiego, tak? Powiedziałem ci, że nie. Tyś się upierał: ktoś musiał donieść, inaczej by go nie zabrali, tak? A ja ci powiedziałem: może i doniósł, może sam Lucyfer, ale nie ja. Rozumiesz ludzką mowę czy nie?

– Rozumiem, ale ktoś musiał go wydać. Wydali jego, wydadzą i ciebie, wydadzą mnie...

– No to się zesraj, wiesz?

– Ano... to chyba... pójdę – powiedział Brtko i wstał niezdecydowanie.

Hej, piłoby się, piło,

gdyby było za co,

śliwownicę, przepalankę...

– Co tam, wujciu, co mamy na sercu? – Młody człowiek

w mundurze gwardzisty wstał od sąsiedniego stołu i przysiadł się do woźnego.

– Jak by ci powiedzieć... Wesoło jest teraz w Paradise, ale tak, jak było przed laty, już nigdy nie będzie!

– I nic więcej *baczi* Piti nie powie? – przymawiał się pieszczotliwie młodzian.

– Tobie nie. Ludzie mówią: przed Czarnym trzymaj język za zębami.

– Kto tak o mnie mówi? Kto?

– Nawet nie wiem. Mnie, chłopcze, pamięć już nie służy. I nawet zamknąć mnie za to nie można. Ba, starość...

– A nie wiesz przypadkiem, gdzie poszedł twój kumpel?

– Poszedł się, z przeproszeniem, wysikać... Łyknać świeżego powietrza, zemdliło go z tego wszystkiego... – Wujcio Piti nalał do kieliszka. – Napijesz się ze mną, Czarny?

Brtko dobiegł zdyszany do sklepiku na korsie. Przyłgnął do żaluzji, stopił się z ciemnością, tylko bardzo bystre oko zdołałoby odróżnić skuloną postać od ciemnego tła.

Biały, jakby świeżo wykąpany sierp księżycy płynął z pośpiechem po niebie, nurkował za chmury, ale daremnie. Czarna chmura rozstała się i Brtkowi wydało się, że ktoś poświecił mu z góry na dziurkę od klucza.

Starał się podnieść żaluzję jak najciszej. Nic z tego.

– Do diabła – zaklął, gdy ciszę rozdarł zgrzytliwy brzęk.

Oburącz chwycił płat falistej blachy od spodu, zaparł się mocno i jednym szarpnięciem podciągnął żaluzję do samej góry. Przerażliwy hurkot zbudził psy w całej okolicy. Rozszczękały się zajadle.

– Muszę chwilę poczekać – mruknął pod nosem. Rozejrzał się. – Jeszcze złapie mnie za kołnierz i okrzyknie szabesgojem – mamrotał pijacko. Na szczęście nikt nie nadszedł, w oknach nie zapłonęły światła, nawet szczekanie psów ucichło i tylko wiatr szumiał i szumiał, owiewał Brtkowi rozpaloną głowę i twarz. Z kieszeni sterczała mu butelka.

Nareszcie umilkł dzwon na wieży. Noc znów zamknęła się nad miastem, uspokoiła się z wolna jak rozfalowana tafla wody, gdy rzucony w nią kamień opadnie na dno.

Brtko mógł wejść do sklepu.

– Kto tam? – zawołał zduszonym głosem, gdy w ciemności dojrzał plamę mlecznej mgły, ukształtowanej w zarys pochylonej, znieruchomiałej staruszki za ladą. – Kto tu jest? – powtórzył zdjęty lękiem.

Sklepek milczał, pytanie Brtko zawisło w powietrzu, po czym z brzękiem dzwonka nad drzwiami spadło na poskrzypującą podłogę. Czubkami palców dotknął tajemniczej postaci. Papier na półce zaszeleścił i wolno osunął się na podłogę.

Brtko otworzył drzwi kuchni i wygrzebał z kieszeni zapalki. W mdłym blasku żółtego płomyka łóżko Rozalii zakołysało się jak zapomniane senne widziadło. Drugą zapalką zapalił świeczkę w trójramiennym świeczniku.

Występujące na chwilę z chybotliwego cienia meble wyglądały, jakby usiłowały wyzwolić się ze stanu nieruchomości i jakby lada chwila miało im się to udać. Podszedł do łóżka.

Staruszka, przykryta po szyję, leżała na wznak. Spiczasta broda sterczała spod pierzyny. Przez szczelinę półotwartych ust dobywał się regularny, świszczący oddech. Cień skakał po pierzynie, nasunął się na pomarszczoną twarz, wreszcie przemknął po śnieżnobiałym czepku, zawiązanym pod brodą na kokardkę.

Wróciwszy do kuchni, Brtko wyciągnął z kieszeni butelkę. Wino spływało do gardła obfitymi łykami. Ogarniało go coraz większe niezdecydowanie. W pokoju coś się poruszyło, zaskrzypiało. Przysunął świecę do ust. Dmuchnął. Ciemność. Krok, jeszcze jeden, trzaśnięcie podłogi i przeciągły skrzyp drzwi.

W sklepie, koło regałów, znów się napił. Z twarzą przyciśniętą do szyby drzwi obserwował zaciemniony rynek. W głębi majaczyła widmowa bryła olbrzymiego ostrosłupa. Panowała głęboka cisza, ale gdy Brtko odszedł od drzwi, doznał wrażenia, że patrzy w owalne lustro z sypialni Rozalii i słyszy niesione wiatrem z ogromnej dali ludzkie głosy. Brzmiały coraz wyraźniej, zmieszane z tak dobrze znanym zgrzytem pił i stukaniem siekier. Potem wydało mu się, że słyszy głos Daniela i głos Erziki, i głosy innych dzieci. Brzmiały cudownie, jak anielskie chóry. Szary tuman w lustrze z wolna się rozpląwał, nasycił się światłem.

Oślepiająca jasność rozlała się w powietrzu, a w rozmigotanym, jakby utkanym z promieni słońca lustrze pojawiła się Rozalia Lautmanowa. Poruszała się z taką czarującą swobodą, jakby to dla niej była nie pierwszozna. A jak się wystroiła na tę okazję! Na głowie miała śnieżnobiały czepkę, szyję zdobiły szklane korale, wyglądała w tej powodzi światła niezwykle młodo. Bardzo jej było do twarzy w długiej niemal do kostek, trochę staromodnej spódnicy i jedwabnej białej bluzce z długimi szerokimi rękawami lamowanymi koronką. W jednej ręce trzymała parasolkę, w drugiej wachlarz.

Wprost z owalnego lustra Rozalia wyszła na rynek i kokieterijnym

ruchem dłoni przywołała Brtka stojącego w drzwiach sklepu przy głównej ulicy. Zmierzyła go od stóp do głów przez lornion. Uśmiechnęła się mile, zdawało się, że jest zadowolona z tego, iż jej pomocnik tak się wyelegantował. Wziął na tę okazję melonik po nieboszczyku Heinrichu i lakierki, sztywny kołnierzyk i zwinięty parasol, w butonierkę wetknął różę. Ale Rozalia nie byłaby Rozalią, gdyby nie miała zastrzeżeń.

– Nie wyczyściłeś butów – powiedziała z wymówką od razu przy powitaniu.

– Mam takie wrażenie, jakby to się działo we śnie, a ty? – powiedział Brtko, całując jej dłoń. Podał jej ramię i przechadzali się po promenadzie, z której bez śladu zniknął drewniany ostrosłup.

– Dziś nie będę gotować obiadu... Jak myślisz, może pójdziemy na fasolówkę do Grinszpanów? – zapytała Rozalia.

– Jak możesz mówić o zupie, gdy ja mam takie zmartwienia?

– Każdy ma swój krzyż, każdy wie, co go spotkało, ale nikt nie ma pojęcia, co go czeka – odparła Rozalia.

– Bałem się tego przekłętego ostrosłupa na rynku. Bałem się szwagra Markusa. Nie wierzyłem mu – zwierzał się Brtko.

– Kiedyś, gdy ludzie przestaną się bać jeden drugiego, będą sobie bardziej ufać – powiedziała, wznosząc palec. – Słyszysz, jak wydzwanają?

– Jesteś tego pewna, Rozalio?

– O mój Boże, wiecznie masz jakieś wątpliwości! – poskarżyła się.

Brtko wytrzeszczył oczy na drgający płomyk świeczki przed sobą. Gdzie on jest?

Przy kontuarze stała staruszka, boso, w czepku, w długiej aż do ziemi nocnej koszuli.

– Ajaj, pewnie wygnała cię z domu? – zapytała ze współczuciem. – To nic, to nic – uspokajała go – wszystko się naprawi... – Podała mu koc i odwróciła się, chcąc odejść.

– Pani Lautmanowa! – zawołał tak głośno, że zatrzymała się w pół kroku i odwróciła. Podbiegł do niej i pijackim bełkotem, usiłując zebrać myśli, zaczął tłumaczyć: – Niech pani posłucha, pani Lautmanowa. Przecież zna pani wujcia Piti od Laboreca. Mógłby panią ukryć na strychu albo w piwnicy. On nie wydał Kucharskiego, on chce tego... dowieść, przekonać, że tego nie zrobił. Dlatego panią ukryje... Inaczej fiuuu... – Gwizdnięciem i ruchami rąk pokazał odjazd pociągu.

– Oj, to się zemści... To się na niej na pewno zemści – powiedziała nieco pompatycznie – ale wieczorem, jak nie dziś, to jutro, pogodzicie się, ja ci to mówię... Ty wierz moim słowom, łóżko to najlepszy rozjemca... – I odeszła drobnym kroczeniem, niosąc wysoko świecę.

Ktoś zastukał gwałtownie w szybę, potem dzwonek nad drzwiami rozbrzęczał się jak na alarm.

Brtko zasłonił rękami oczy, broniąc się przed snopem światła latarki i napastliwym głosem:

– A więc tu jesteś, ptaszku? Myślałeś, że nie wiem?

– Kto to? – szepnął Brtko oślepiiony światłem.

– Nie poznajesz mnie? No to mi się przyjrzyj – powiedział Czarny i oświetlił sobie latarką twarz.

Hej, piloby się, pilo,

gdyby było za co,

śliwownicę, przepalankę...

– Teraz przynajmniej, do boszu, sam widzisz, co z ciebie za ziółko, a mówiłeś, że my, gwardziści, jesteśmy złodzieje, ja ci dam – nawiązał z udaną żartobliwością do przerwanej rozmowy Czarny, gdy znów wszyscy trzej znaleźli się w knajpie. – Hej, łaskawco, jeszcze jedną kolejkę koniaku! – zawołał do restauratora, po czym zwrócił się do Brtko: – Jesteś morowy chłop, Tono, a wiesz, dlaczego jesteś morowy chłop, Tono? – powiedział familiarnie i kuksnął go w pierś.

– Nie każdy może być morowy – bąknął Brtko, jakby się tłumacząc.

– Mało morowy, ty jesteś unikalnie morowy, taki maleńki... zżarty rdzą pieniędzy, który się trzyma na szczęście... A wiesz, dlaczego?... Dlatego, że ja cię tak właśnie trzymam – mam cię w garści, Toniczku! – powiedział Czarny, wysuwając zwiniętą pięść.

– Pokaż! – zarechotał wujcio Piti i zwałił się brzuchem na stół.

– No to się dobrze przypatrzcie! – Czarny przysunął się z krzesłem do stołu. – Przypatrzcie się obaj. Liczę do trzech, zafajdańcy, liczę do trzech, a nim policzę, ty mi, Brtko, grzecznie powiesz, co zjuchciłeś u Żydówki. Chcieliście się podzielić, co? – ryknął. – No to zobacz – wysunął z kieszeni kawałek łańcuszka. – Raz!

– Tere fere, Czarny, ja wiem, że żartujesz...

– Dwa! – krzyknął gwardzista.

– Dobrze wiesz, że Lautmanowa jest biedna jak mysz kościelna. A może myślisz... że nie? No to chodźmy tam, przekonasz się na własne

oczy. Jej możesz zabrać najwyżej... biedę i nędzę... Daj spokój, Czarny, to przecież głupi żart... – Brtko usiłował ratować sytuację.

– Trzy! – Piotr Czarny rąbnął pięścią w stół.

– Czekaj, Czarny, nie bądź taki raptus, ja... coś ci powiem... – Brtko podrapał się w głowę – powiem ci, Czarny, tyś się w czepku urodził. Toć ty, człowieku, masz pakt z diabłem, nie gadaj, że nie, bo skąd byś tak wszystko wiedział... – Sięgnął do kieszeni, też rąbnął pięścią w stół i otworzył z wolna dłoń. Wysypały się z niej klejnoty.

– Pierścionki – szepnęła blondynka.

– Kolczyki! – wykrzyknęła z zachwytem druga kelnerka.

Goście od sąsiednich stolików patrzyli na to wszystko obojętnie, nie bardzo pojmowali, o co chodzi, i nie starali się tego zgłębić.

– A reszta? – zapytał Czarny.

– Możesz mnie przeszukać. – Brtko uniósł ręce, uśmiechnął się i z nienaturalnym grymasem dodał: – Obrałem Żydówkę ze wszystkiego, co miała.

Woźny wytrzeszczył oczy.

– Ścierwo! – ryknął i plunął Brtkowi w twarz. Czarny z ledwością obronił Brtkę przed rozwścieczonym sąsiadem.

Po bezsennej nocy, która przeszła w duszny, hałaśliwy poranek, Brtko był zupełnie wykończony. Pił na umór, z przechylonej do rozdziawionych ust butelki skapywały mu na brodę krople wódki, łączyły się w strużki i ściekały pod rozchełstaną koszulę. Dosyć, powiedział sobie. Trzasnął butelką o kontuar i otarł usta. Wymięty, rozczochrany, z błędnym wzrokiem, miotał się po sklepie jak zwierzę

w klatce rozdrażnione złośliwym łomotaniem w pręty.

Nawet alkohol nie zdołał zagłuszyć zgiełku dobiegającego z rynku, krzyków, wrzawy i powtarzanego ciągle zapewnienia:

– Nie wierzcie wrogiej propagandzie. Odjeżdżacie niedaleko, na letnie roboty polne. W obozach pracy, w których zostaniecie umieszczeni, nie zabraknie wam niczego...

Starczyło wytężyć słuch, aby zrozumieć każde słowo:

– Podchodźcie do stolików rejestracyjnych pojedynczo!

I znów przenikliwy gwizdek. I znów głośnik:

– Podchodźcie do stolików rejestracyjnych pojedynczo!

I znów przenikliwy gwizdek. I znów głośnik:

– Podchodźcie do stolików rejestracyjnych pojedynczo! Jeszcze raz powtarzam: waga bagażu nie może przekraczać trzydziestu kilogramów na osobę. Halo, halo, podchodźcie do stolików rejestracyjnych pojedynczo!

Wrzawa. Szum. Rażny marsz. Stoliki rejestracyjne stały w cieniu kasztanów zaledwie o parę kroków od sklepu. A rynek od wczesnego ranka wyglądał jak wielki biwak, z wolna wypełniający się postaciami dużymi i małymi, z plecakami na ramionach i walizkami w rękach. Oszklone drzwi sklepiku tłumiły natężenie dobiegających z zewnątrz dźwięków, ale nie zdołały stłumić tego, co w nich brzmiało.

– Człowieku, gdzie ty się podziewasz!

W charkotliwym brzęku szarpniętych gwałtownie drzwi – rejwach z ulicy wwalił się do sklepu, lecz zaraz ścichł – wpadł zdyszany

jednoręki trafikant.

– Szukałem cię w domu, stukam w okno, walę w drzwi, ogłuchliście czy co, wołam, krzyczę, nic, nikt się nie odzywa, ani twoja kobieta, ani ty, myślę sobie, czy i Brtka wsadzili za kratki?

Stolarz w pierwszej chwili nie mógł dobyć z siebie głosu. Ale to przypuszczenie, wypowiedziane przez trafikanta zupełnie lekko, jakby ta straszliwa rzecz mogła się przydarzyć absolutnie każdemu, sprawiło, że Brtka wykrzywił twarz w pijackim uśmiechu i wymamrotał:

– Jak... zamkną, to... zamkną...

– Głupstwa pleciesz, Brtka... przysięgłem, że o niczym nie wiesz, przysięgnij i ty... że wiesz...

Brtka splunął na dwa palce i uniósł rękę jak do przysięgi. Trochę się przy tym zatoczył.

– Przecież ty jesteś na bani, gdzieżeś się tak z samego rana zaprawił?

– Ja jestem... uczciwy rzemieślnik i... nic więcej nie chcę.

– A czy ja mówię, że nie, ale daję słowo, gdybym przy tym nie był...

– Przy czym? – Brtka wyglądał teraz na zupełnie trzeźwego.

Trafikant, jakby tylko na to czekał, zaczął opowiadać z przejęciem, całym ciałem, gestykulując nawet kikutem ręki:

– ...w kręgielni, wyobraź sobie, Tono, w kręgielni u Fedorków... ni z tego, ni z owego... kręgle już ustawione, równiutko jak pod sznurek, powiadam do Imra: „Imro, gdyby nie to, że już wygrałem butelkę rumu,

założylibyśmy się o litra, na moją kręglarską duszę przysięgam, że prawdziwy męczennik z wieńcem cierniowym na głowie”.

– Tobie... pasuje to... jak ulał...

– Lepiej posłuchaj... Tak sobie żartujemy, popijamy wino, powiadam: „Szykuj, oberzysto, flaszkę rumu”. Biorę kulę w dłoń, z mocnym postanowieniem, że od jednego rzutu przewrócę wszystkie kręgle, jak ci się zamachnę, o tak, ręka do tyłu, a tu ktoś mnie za nią łapie, ja się odwracam, a ten drugi akurat mówi: „Panie Kucharsky, w imieniu prawa...”. Powiadam ci, kula mi z ręki wypadła...

– Kłamiesz!

– Dlaczego miałbym kłamać?

– Wszyscy kłamią!

– Ja nie, to ci przysięgam, dwóch cywilnych i jeden smarkacz w mundurze zakuło Kucharskiego w kajdanki, jakby nie był porządnym człowiekiem, ale jakimś włóczęgą. Jeszcze do mnie zawołał: „Butelki ani ja nie wygrałem, ani ty, daj ją Brtkowi, przyda mu się na pokrzepienie”.

Trafikant postawił na kontuarze butelkę rumu.

– Ale tyś już wiedział o Kucharskim, co? To może i o tym słyszałeś, że kapelmistrz orkiestry strażackiej stanął im okoniem? Zamknęli go, ale podobno tylko do wieczora...

– Balka nie zamknęli!

– Zamknęli!

– Kłamiesz!

– Do widzenia, Brtko, do widzenia...

Esenc zamerdał ogonem, poczłapał leniwie kilka kroków za odchodzącym sąsiadem. Przy drzwiach Gejza się odwrócił. Spostrzegł nadchodzącą korytarzykiem staruszkę. Szła akurat do sklepu.

– Ona jest tutaj? – wykrzyknął ze złowieszczym i wcale nieudanym zdumieniem. – Nie dostała wezwania? Aj, to źle...

Brtko spojrział z nagle obudzoną uwagą.

– Twój szwagier wziął się na sposób, uch, cóż to za łajdak... hm, czy to nie jest jakaś... pułapka...

– Pułapka? Dlaczego... pułapka?

– Może chce wypróbować twoją lojalność, kto wie. Albo jest ciekawy, co z nią zrobisz?

– Co ty gadasz? – zawołał Brtko, jakby nagle rozdrażniony tą straszliwie rzeczową uwagą.

– Bo dlaczego Kolkocky nie posłał wezwania akurat Lautmanowej?

– No... tak... chyba masz rację – przyznał z przygnębieniem Brtko.

– Może Kolkocky chce się przekonać, czy ją wepchniesz w tę ciżbę – pokazał palcem rynek – a może chodzi mu o coś innego? Rób, co chcesz, ale ja na twoim miejscu... ja bym tego na swoje sumienie... nie wziął. W żadnym wypadku...

Spojrzeli na staruszkę. Siedziała, na pozór nie zwracając na nich uwagi. Ale natychmiast spostrzegła ich zainteresowanie. Zapytała:

– Pan szuka jakiś ekstra towar?

Brtko zachłannie pociągnął z butelki kilka długich łyków i podał ją trafikantowi.

– Teraz nie – powiedział Gejza. – Wiesz, co jeszcze jest możliwe?
– Miał taką minę, jakby znalazł rozwiązanie. Brtko ożywił się. –
Całkiem możliwe, że to protekcja, człowieku, przecież ona nawet nie
figuruje w ewidencji żyjących...

– Przecież żyje, nie?

– Do widzenia, Brtko, spiłeś się w drobny mak. I to z samego rana.
Cześć, Tono, cześć.

Esenc wyciągnął szyję za odchodzącym.

– Nie możemy zadowolić wszystkich klientów, ty się z tego
powodu nie trap – powiedziała staruszka. – Ty mi lepiej powiedz, czy to
prawda, że trojaczki Lilusi mają koklusz?

Brtko wcale jej nie słuchał.

– To tak? – wymamrotał, wciągnął oddech, jakby ruszał do ataku,
i z pochyloną głową rzucił się ku drzwiom. – Wy chcecie złapać w sidła
uczciwego stolarza Brtko? Wpędzić go w kłopoty? No to chodźcie tu,
zasrańcy! Spróbujcie! – wrzasnął.

– Ten pan na pewno jest już koło Rubinów, już go nie dogonisz –
powiedziała staruszka.

Brtko jak dźgnięty nożem odwrócił się od drzwi. Lautmanowa
podniosła wzrok. Wydało mu się, że w jej strapionym spojrzeniu czyta
prośbę o pomoc. Jej słowa w ogóle do niego nie dotarły.

Czuł, że przepelnia go niezwykła odwaga. Niezlomna pewność, która w tej chwili pozwoliła mu spojrzeć wyimaginowanemu niebezpieczeństwu prosto w oczy. Zwyczajna dobroć przerodziła się we wzniosłą szlachetność. Wydało mu się naraz, że jest rycerzem powołanym do obrony słabych i bezbronnych istot.

Staął w rozkroku i pogroził pięściami tym drabom na rynku.

– Nie ważcie się tu przyjść, łotry! Tej Żydówki nie wolno wam tknąć nawet palcem! Rozumiecie?!

A staruszkę zapewnił:

– Ja pani nie dam, niech pani się nie boi... nie pozwolę pani skrzywdzić... Już ja tym kanaliom pokażę!

Podbiegł do drzwi.

– Łotry! Dranie! Banda złodziei! świnie! Parszywcy! – wyrzaskiwał aż do ochrypnięcia, aż opadł całkiem z sił.

Pełen oburzenia protest utonął w nagłej fali żalu. Do oczu napłynęły łzy. Zaczął opłakiwać swój los i staruszki, i całego świata. Ponuro wyliczał na palcach:

– Kucharskiego wsadzili do ciupy, *baczi* Piti uważa mnie za łajdaka, ciebie, Rozalio, wykończą w krótkich abcugach, a Markusa zrobią generałem. Czego się gapisz? Może nie mam racji? No, mam czy nie mam?

– Takie nieszczęście, takie nieszczęście, ty całkiem wpadłeś w pijaństwo. O mój Boże, z powodu kobiety... – Chwyciła się za czoło.

Zatoczył się. W głębi duszy żywił nadzieję, że Lautmanowa

rozwieje jego obawy. W jej bojaźliwej litości dopatrzył się skrytej pogardy. To go rozgoryczyło.

– Ja ci rękę podaję, życie narażam, a ty nawet nie słuchasz, co mówię? Co ty sobie myślisz, gudłajko, że ja nie jestem człowiek? Nie odwracaj głowy! Masz słuchać! – komenderował.

Zmógł go strach przed okrutną przebiegłością Markusa. Musiał go wyjawić, wypowiadać się przed nią.

– Zrozum! Poprzez ciebie mierzą we mnie. Tobie nie posłali wezwania, a mnie trzymają na muszce. Podetknęli mi na przynętę sklep i złapali w sidła jak szkodliwą zwierzynę. Tak to wygląda, ale ty tego nie rozumiesz. Jesteś już stara i głupia.

Potaknęła żalonym kiwnięciem głowy.

– Ale czy trzeba zaraz wpadać w pijaństwo?

Wzruszyło go jej współczucie. Porwały go wyrzuty sumienia.

– Jakże to? Litujesz się nade mną? Ja w ciebie kamieniem, a ty we mnie łzami? Tylko mi tu nie płacz, Rozalio, tylko nie płacz! Masz tu moją grzeszną głowę, raczej wytłucz mnie po gębie, bij, wał, ulżyj sobie, ulżyj i mojej duszy! Przecież ja chciałem cię skrzywdzić... zaryzować... No, rozbij mi gębę!

Jak obłąkany tłukł czołem o kontuar, aż osłabł i padł na krzesło. Staruszka, przerażona zachowaniem swego pomocnika, podeszła do niego.

– Biedaku – powiedziała. Tylko Esenc ją słyszał, Brtko bowiem usnął. Lautmanowa zrobiła, co było w jej mocy. Przyniosła zmoczoną chustkę i owiązała mu głowę. Potem w milczącej asyście psa poszła do kuchni. Po dziewiątej wpadła zrozpaczona sąsiadka.

– Co się stało, pani Eliazkowa? – zapytała staruszka.

Nieszczęsna kobieta gwałtownymi, zbolałymi gestami naznaczyła w powietrzu jakby stopnie: głowy siedmiu dziewcząt i jednego, najmłodszego, chłopca. Zrobiła to tak sugestywnie, że Rozalia w lot pojęła.

– Danielek? – zaskrzeczała. – Co mu się stało?

– Zginął nam, zginął, od rana go szukamy, takie nieszczęście, pani Lautmanowa! – I wybiegła.

Brtkowi wydawało się, że ktoś woła go z ulicy po imieniu. Był to dziecięcy głos. A może kobiecy. A może tylko mu się śniło.

– Markus? – wykrzyknął. Ociężałym krokiem poczłapał do drzwi i przycisnął twarz do szyby. Żydzi, ustawieni szóstkami, ruszali akurat od zwałonego Pomnika Ofiar. Czuł w tym wszystkim rękę Markusa. Podrażniona wyobraźnia wyolbrzymiała niebezpieczeństwo. Musi coś zrobić, póki jeszcze czas. Bo gdy ich wszystkich wciągną do wykazów, gdy ich wciągną i stwierdzą, że liczba jest niepełna, że brakuje Rozalii Lautmanowej, zacznie się... polowanie na czarownice. Będą jej szukać... Markus Kolkocky pokaże palcem na sklep. Ubrojeni gwardziści, a jest ich jak psów, wpadną tutaj – a wtedy koniec. Wywloką i staruchę, i jego... Postawią ich pod pręgierzem, innym ku przestrodze. Patrzcie, przyjrzyjcie się tym bezwstydnym współnikom: szabesgoj i żydowska plutokratka!

Esenc zaczął gniewnie szczekać.

– Pani Lautmanowa! Co ja na to... poradzę... dla Żydów są inne prawa – powiedział. Zdawało mu się, że staruszka słucha z uwagą. – Ja nie wiem jakie... – ciągnął. – Niech pani wyjrzy, widzi pani tych ludzi na rynku? To wasi. Rozdają im świeżutkie placuszki z makiem. Nie, nie

placuszki, pani Lautmanowa, ryby. Faszerowane ukleje. Palce lizać, pani przecież lubi faszerowane ukleje, no nie?

Staruszka podreptała do kuchni.

– Pani Lautmanowa! Słyszysz mnie pani? – krzyknął Brtko, doganiając ją.

Stała, uniosła głowę.

Przeżegnał się.

– Proste jak drut. Albo ja, albo pani. Nie ma rady, pani Lautmanowa. Niech pani sama powie... Słyszysz pani? Pani musi... Co ja jestem winien? Niech pani idzie... już... natychmiast... Rozumie pani? – Pokazał palcem drzwi.

Nic nie pojmowała, patrzyła na niego z otwartymi ustami. Jej pomocnik chyba oszalał. Widziała, że krzyczy.

– Niech mnie pani nie zmusza, ja panią proszę, niech mnie pani nie zmusza, żeby tam zaciągnął siłą... – Ale i ta rozpaczliwa prośba pozostała bez echa. Zaczął wrzeszczeć: – Myślisz, że nie wiem? To wszystko udawanie. Milczysz, starucho, udajesz głuchą, ale fałszywa jesteś jak kot. Przyczaiłaś się, co? Tylko patrzysz, a po wojnie podniesiesz krzyk, jaki to ja byłem niemiłosierny... aryżator. Przejrzałem cię na wylot, nie myśl sobie! – Pokazał na drzwi. – Już cię nie ma!

Staruszka uniosła obronnym gestem rękę. Po raz pierwszy zlekła się go.

Z rynku buchnął krzyk. Brtko skoczył do drzwi. Ten przeraźliwy głos wydobył się prawdopodobnie z jednego tylko gardła, ale natychmiast przyłączyły się do niego inne, teraz krzyczeli już wszyscy. Cztery tysiące ludzi usiłowało oprzeć się gwałtowi, zgiełk wdarł się

do sklepu na korsie i owionął Brtka palącym oddechem. Nad ciżbą zakołysał się drewniany ostrosłup zwieńczony hasłem: ZA BOGA ŻYCIE – ZA NARÓD WOLNOŚĆ. Nagle tłum się rozstał. Grupy uzbrojonych gwardzistów rozciąły go na dwie części.

– Wynoś się!

Staruszka przestąpiła z nogi na nogę i spojrzała na swojego subiekta.

– Jeszcze powiedzą, że cię ukryłem. Wpakują mi kulę w łeb.

Esenc zaskomlił płaczliwie.

– Precz! – wrzasnął Brtko nieprzytomnie. Przerażona staruszka zrobiła dwa bezradne kroki i zastygła wyprostowana, jakby stała na baczność.

Brtko zdrętwiał.

Tłum ruszył w kierunku dworca. Uzbrojeni gwardziści natychmiast utworzyli wzdłuż chodników szpaler. Zdał sobie sprawę, że przez tę zaporę nikt się nie przedrze.

Ta masa ludzka przepływająca za szybą niby spiętrzone fale... Przecież on już gdzieś to widział. Musiał sobie wciąż powtarzać, że to zły sen. Ktoś mówił: zwołają Żydów na rynek, palną im mowę i puszczą do domu. Przecież to kłamstwo, oni naprawdę gdzieś ich wywożą... Już się nie martwi, że Lautmanowa nie dostała wezwania, że siedzi tam w głębi sklepu.

– Niech mi pani przebaczy, pani Lautmanowa... Ja nie chciałem... – szepcze.

Brtko nie usiłuje nawet unieść ciężkich powiek. Przeraża go widok

oznakowanych żółtymi łatami postaci, szurających nóg i drepzczących nówek. Ma takie uczucie, jakby sam stąpał w tym potwornym nurcie milczących zastępów, szukał drogi i torował ją sobie we mgle, kurzu i rozpaczy, z góry wiedząc, że nie ma ucieczki. Bronił się przed tym, odwracając spojrzenie od migających czarnych sylwetek.

– Panie Katz – szepnął nagle, spostrzegłszy i poznawszy fryzjera. – Panie Blau! – Posłyszał kobiecy szloch. Starcom widać zależy na zachowaniu godności nawet na własnym pogrzebie. – Idą na niechybną śmierć – szepnął Brtko.

Siła miazdzącej ciszy i bezruchu, zaklęta w tym słowie, wyrwała go z tępego odrętwienia. Wzbudziła w nim potrzebę działania. Zagryzł spękane wargi i pogłaskał ucichłego Esenca.

Na zwalony Pomnik Ofiar padł cień. Rynek był już pusty. W pierwszej chwili Brtko nie był pewien, kim jest ten gestykulujący mężczyzna, ale potem poznał Markusa. Tłumaczy coś gwardzistom przy stolikach rejestracyjnych. Może mówi, że po tej akcji oczyszczenia miasta musi wpaść do sklepu szwagra i umyć ręce.

Tono Brtko jednym skokiem dopadł staruszki.

– Prędej! – wychrypiął. – Kolkocky tu idzie, nie może cię zobaczyć!

– W jego ruchach jest kurczowy wysiłek tonącego. Ciągnie staruszkę brutalnie, z rozpaczliwym pośpiechem. – Rusz się! No rusz się!

Strach rozszerza oczy staruszki, ten strach ustokrotnia przerażenie Brtka i brutalność instynktownego działania. Lautmanowa nie słyszy szczekania psa, nie pojmuje, co się dzieje. Kopie, broni się.

– Ty... ty... oszalałeś...

Wlecze ją siłą, już tylko trzy kroki, dwa, szarpnął drzwi komórki i wepchnął kobietę do środka. Trzaśnięcie drzwi zagłuszyło stuk czaszki o ścianę. Suchy chrzęst, ułamek sekundy, który miał go wyzwolić od śmiertelnego strachu.

Przed wejściem obojętnie mignął olbrzymi cień. Szwagrowi Markusowi nawet nie wpadło na myśl, żeby wstąpić do sklepu.

Brtko zrobił krok w stronę drzwi. Powinien teraz jak gdyby nigdy nic wyjść ze sklepu, opuścić żaluzję i pójść do domu, a może lepiej poczekać chwilę, aż stara się uspokoi i opuści komórkę. A jeśli zjawi się przed nim w białej śmiertelnej koszuli?! Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywał się w drzwi komórki. Ten obraz był tak wyraźny, że straszne przecucie zamgliło mu wzrok. Podszedł na uginających się nogach i wziął za klamkę.

Owionął go chłód, zaduch i zapach pleśni. Chciał się cofnąć, ale nie mógł. Nogi spętało mu przerażenie zastygłe w szeroko otwartych oczach staruszki.

Musi jej przecież wszystko wytłumaczyć, odpowiedzieć na błagalne pytanie, którego, zaskoczona, już nie zdążyła zadać...

Leżała skręcona na pustych kartonowych pudełkach. To był cały jej majątek i może on właśnie przesądził jej los, ale ona tego nie rozumiała. Gestem rozwartej dłoni jakby chciała podkreślić, że nie rozumie. Tak strasznie zależało jej na tym, aby Brtko wyjaśnił jej, dlaczego to zrobił.

Tono Brtko nie umie odpowiedzieć, jego czyn jest dla niego taką samą zagadką jak dla martwej staruszki. Chce podnieść rękę, ale nie może.

– Pani... Laut... manowa... – Dźwięk, który dobywa mu się

z gardła, przypomina skrzek. Zatyka sobie usta, na miłość boską, przecież... przecież on... nigdy... nikogo... nie skrzywdził... nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić!

Stoi pośrodku sklepu. Ze zdziwieniem przygląda się swoim palcom. Przecież tymi rękami... robił kołyski... stoły, przy których ucztowano, trumny dla szacownych starców... A teraz nimi zabił... Miażdży go szklane echo czyjegoś głosu. Kto to był? Rozgląda się w panice, wstrząsa nim dreszcz. Już wie... Oczy dostrzegły hak w suficie.

Biały kundel z żółtą łatą na pysku był świadkiem czynu, któremu nie mógł zapobiec. Więc tylko nieprzytomnie biegał w koło wzdłuż czarnych, powleczonych mrokiem ścian, jakby dręczony wyrzutami sumienia, jak w koszmarnym śnie. Wciąż w koło. I skowyczał. I wył – boleśnie, bojaźliwie, ale tak przejmująco, jak gdyby wszystko pojał.

W pobliżu rozdźwięczał się dzwon. Niewiele brakowało, a wszystko skończyłoby się jak w bajce. Dzieci sąsiadów były w lesie, nie zabłądziły, odnalazły drogę i wróciły na rynek, wyludniony i pusty jak w zaczarowanym mieście. W niezwyklej ciszy, która zapadła, gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu, rozległ się śpiewny głos Danielka:

– Wcale nie jest jeszcze tak późno, zobacz – i chłopiec pokazał palcem uniesioną żaluzję sklepiku na korsie. Dzieci spojrzały na siebie spłoszone, bo coś usłyszały, a może i zobaczyły.

Trzymając się za ręce, rzuciły się do ucieczki, biegły przez podwórko w osłonie ciemności, okrutnej, długiej nocy.

Wujcio Piti, choć zmęczony, nie byłby sobą, gdyby nie opowiedział dzieciom, które przygarnął i ukrył, wszystkiego do końca. Stał w przepasanej na biodrach rubaszce, ze skrzypcami pod pachą, i perorował:

– Teraz są już kwita... Nie ma na świecie sprawy, której by niebieski sędzia nie rozsądził. Może obojgu odpuścił grzechy. Przecież umarli jak męczennicy. Toteż całkiem możliwe, że teraz oboje przechadzają się po niebiańskim korsie, gdzie nie ma żadnych pogańskich ostrosłupów ani innych wariactw, gdzie nie muszą się nikogo bać, co najwyżej dawać baczenie, żeby się nie narazić świętemu Piotrowi. Ale on jest dobry, nie taki jak ten łotr, co zamknął twojego dziadunia. No, nie martw się, on go puści. Może już za tydzień, a jak nie za tydzień, to za miesiąc na pewno. A z tobą, Danielku, słowo daję, sam jeszcze nie wiem, co zrobię. Ale jedno zrobię na pewno: nauczę cię Ojcie Nasz i Zdrowaś Mario. Z tymi modlitwami łatwiej ci będzie urządzić się w dzisiejszym świecie, jak z tym twoim Szma Izrael... Każdy czas ma swoje ojczenasze i nie zaszkodzi je znać. No, śpijcie, ja już idę... tyle mam roboty, że słowo daję, nie wiem, za co się najpierw brać.

Przypisy

[1] Gwardzista – w okresie Państwa Słowackiego (1939–1945) członek faszystowskiej Gwardii Hlinki (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza). [2] *Na straż* – pozdrowienie faszystów słowackich. [3] *Krtek* po czesku znaczy kret. [4] *Kostwaskost* (zniekształcona niemczyzna) – niech kosztuje nie wiem ile. [5] *Baczi* (węg. *bacsi*) wujek.